

# GŁOS KATOLICKI

LA VOIX CATHOLIQUE

TYGODNIK WYCHODZSTWA

HEBDOMADAIRE DES EMIGRES POLONAIS

Nr 47-48 (1299 - 1300)

Niedziele 21 - 28 grudnia 1986 r.

Rok XXVIII



„**B**ÓG się rodzi, moc truchleje...” — tymi radosnymi słowami rozpoczyna się zwykle polska pastierka, głosząca narodowi Boże Narodzenie. Ta corocznie powtarzająca chwila przypomina nam, że nie jesteśmy sami, że przyszedł do nas, do każdego z nas Bóg-Człowiek. W perspektywie tego fenomenu wszystkie nasze trudy, smutki, bóle stają się mniej dolegliwe. Zostaje nam bowiem uzmysłowiony inny porządek rzeczy i wartości — porządek wieczny, porządek miłości. Chyba nigdy tak blisko nie jesteśmy Boga i nigdy nie wydaje się On nam tak bliski, jak właśnie tego dnia, owinięty w pieluszki w stajence.

Te świąteczne dni obchodzimy w gronie rodzinnym, wśród przyjaciół. Wspólnie cieszymy się nowonarodzonym Dzieciątkiem. Nie smućmy się jednak jeśli najbliżsi nasi odeszli lub są daleko. Wiedzy przecież tym bardziej jest z nami Ten, który do końca nas umiał. W końcu za Jego pośrednictwem czujemy również obecność tych wszystkich, których tak bardzo nam brak.

Lamiąc się opłatkiem nie zapominamy o naszej Ojczyźnie, o Polsce. Jesteśmy wszakże Jej częścią, nawet tu, na emigracji. Ten duchowy nasz z Nią związek szczególnie uwidacznia się właśnie w tradycji Bożego Narodzenia. Miejmy nadzieję, że podźwigniemy Ją z upadku. Poeta pisze: „Pan da siłę swojemu ludowi”. Módlmy się zatem o nią.

Pragniemy by obecne święta umocniły Was, Drodzy Czytelnicy, w Bożej miłości i wolności. Tego Wam życzymy.

Rektor PMK

Zespół redakcyjny



**K**IM byłby Bóg dla ludzi gdyby nie było Bożego Narodzenia? Ponieważ umysł ludzki tworzy świat swych pojęć, stąd każdy miałby „swego” boga, każdy interpretowałby rzeczywistość, jak by chciał i przedstawiał granice między dobrem a złem kierując się własną wygodą. Każdy tworzyłby sobie obraz Boga na mizernej miarę samego siebie. Ci, którzy

stusa zwrotem: „w roku x naszej ery”. Bo cóż innego może być „naszą erą” jak nie sam Chrystus. Umarły bowiem w noc Betlejemską wszystkie inne ery. Umarł pogański świat, umarła pogańska historia, umarł człowiek nie znający Boga. Wszystko nabrało teraz innego sensu. Świat został przepromieniony od wewnątrz, w swych najgłębszych wiązaniach, o-

się uprawia własny ogródek. Pod „dachem” mojej jaźni nie jestem tylko ja, jest też pod nim i Chrystus i to w głębszych pokładach mego jestestwa, aniżeli chybliwy płomień mojej samoświadomości. Ta obecność Chrystusa w nas, zwłaszcza obecność poprzez życie w łasce, może pójść tak daleko, że św. Paweł powie: „Teraz zaś już nie żyję ja, lecz żyje we



## BÓG WŚRÓD NAS



by nie chcieli weń wierzyć, mogliby wmawiać w siebie, że „Bóg” to tylko puste, bez pokrycia słowo, które przez pomyłkę zakradło się do ludzkiego słownika.

Gdyby nie było Nocy Betlejemskiej czym byłaby ziemia dla ludzi? Bryła stygnącej materii, zagubioną w przerażająco głuchym i zimnym kosmosie. Gdyby Bóg nie zamieszkał wśród nas, nie umarł za nas na krzyżu i nie zmartwychwstał, nasza ziemia byłaby wielką poczekalnią śmierci, wprawdzie niekiedy ukwieconą, wedle pór roku, ale nieubłaganą w swej zachłanności kostnicą pokoleń.

Gdyby nie Boże Narodzenie kim byłiby ludzie dla siebie? Czy można zakotwiczyć godność człowieka w tym, co kruche i przemijające? Co wiedziałby człowiek o sobie samym? Owszem rośnie w zawrotnym tempie wiedza o świecie i człowieku. Donoszą ją nam socjologowie, biochemicy, politycy, historycy. Wszystko to jednak są tylko wycinki wiedzy o nas. Nawet wszystkie razem nie dadzą nam odpowiedzi pełnej, kim jesteśmy. By ten ogląd całościowy uzyskać, trzeba oparcia o punkt obserwacyjny, który byłby poza nami i światem. Skąd jesteśmy, dokąd zmierzamy i co godzi się czynić, to pytania, które trapiły i trapią wszystkich. Pragnienie celowości, w jakie ujęty jest nasz szary dzień, rwie się, jeśli nie jest osadzone w jednym wielkim Sensie, bez którego nic, co jest, nie miałoby sensu. Tylko prawda o Bożym Narodzeniu może nam objawić, jaką tajemnicę nosimy w sobie, jaki sens nas wypełnia: że nie jesteśmy tylko z tej ziemi.

Dla naszego zbawienia stało się tak, jak się stało. Bóg sam wszedł w naszą historię. W czasie i miejscu. W tym kontekście dziwna jest nieporadność ukrywania faktu Narodzin Chry-

stusa Boga. Historia uzyskała w Chrystusie swą gorejącą oś, która rozświetla przeszłość, teraźniejszość i przyszłość jak i swój punkt docelowy. Każdy człowiek zapukać musi do bramy, którą jest Chrystus, by móc stanąć na drugim, wiecznym brzegu rzeczywistości, choćby nie znał Chrystusa, żyjąc przed czy też po Nim.

Jeśli Bóg w Jezusie Chrystusie wszedł w ciasność ludzkiego bytowania: w cierpienie, niedostatek, śmierć — jeśli wszedł w beznadziejność sytuacji swej ojczyzny, gnębionej etnicznie, kulturalnie i ekonomicznie przez rzymskiego okupanta — jeżeli wszedł w prozę życia codziennego w zapałym Betlejem i Nazaret — jeśli wszedł w dramat ludzkiej egzystencji w całej jej nędzy fizycznej i moralnej, to miał w tym specjalny cel. Chrystus pokładającym w Nim nadzieję dał potężną broń w rękę. Jeszcze od złoźka. Bo tam wypróbował ją On sam: niemoc miłości, osaczonej przez uzbrojoną przemoc Heroda. Nie przemógł Herod Dzieciąta. Bóg jest wystraszająco wszechmocny, by móc pozwolić sobie na zwycięstwo, nawet jeśli jest bezbronnym dzieckiem. Zwycięstwo niemocą miłości, przez zwyciężaniem zła dobrem i prawdą. I ta właśnie broń okazała się dynamitem historii. Uzbrojone po zęby imperium rozpadło się. Dziecię z Betlejem nadało światu nowy sens i nowy kształt. Garstka niewykształconych rybaków poprowadziła Jego program. Ich jedyną strategią, która przynosi trwałe owoce.

Tajemnica Wcielenia to nie tylko fakt jednorazowy, to także fakt ciągły, który towarzyszyć nam będzie i przez wieczność całą. Jest wiele rodzajów obecności Chrystusa wśród nas. Jedno jest im wspólne, że odtąd nie gospodarzemy już swym życiem sami, jak

mnie Chrystus” (Gal. 2,20). I stąd wywodzi się nasza godność i tu leży racja naszej wielkości, których nie może nam dać, odebrać czy wydzielać porcjami żadna moc z tego świata.

Boże Narodzenie jest także zgorzeniem: kamieniem, o który potyka się mądrość Greków i pycha pogan. To zgorzenie, to konkret osoby ludzkiej zrodzonej, przed 2000 lat, w Betlejem. W Osobie tej bowiem tkwią obok pełni człowieczeństwa i pełnia Boga, Pana wszechświata.

Skandal chrześcijaństwa to także jego „materializm”. W Bogu Jedynym w Trzech Osobach bije ludzkie serce, serce Chrystusa Pana, Boga i Człowieka, będące w ciele, ukształtowanym z elementów tej ziemi. Poprzez swój „materializm” chrześcijaństwo wcielo-  
ne jest w świat. Ma prawo głosu nie tylko w sprawach ducha. Jest ekspertem nie tylko od nieba, burząc w ten sposób materialistyczne monopole interpretacyjne rzeczywistości.

Jest więc Chrystus kamieniem na drodze każdego istnienia ludzkiego. Nie ma prawdziwego życia bez potknięcia się o ten kamień — bo tylko w ten sposób możemy się obudzić ze starego snu. Być może tkwimy wciąż jeszcze w starym śnie. Być może nie jest naszym udziałem pokrzepiająca bliskość Chrystusa. Dlatego, my szczególnie, przypomnijmy sobie pełne nadziei słowa Jana Pawła II wypowiedziane w dzień rozpoczęcia Jego misji apostołskiej: „Nie bójcie się!” Ludzkość zbliżająca się do dwutysięcznego roku przeżywa lęki i niepokoje. Papież, silny mocą Pana, wzywa do zwyciężenia ich, apelem: „Nie bójcie się, ponieważ nasz Bóg to Emmanuel — czyli Bóg z nami”.

**Ks. Wacław SZUBERT**

# „ŚWIĘTA JULIANA URSYNA NIEMCEWICZA W PARYŻU”

24 grudzień 1833

Wilia Bożego Narodzenia, co za tkliwa uroczystość w biednej ojczyźnie naszej. Dzisiaj to wszystkie rodziny zbliżają się za błysnięciem wieczornej gwiazdy, by na sianie pod obrusem pożywać narodowe potrawy, migdałową zupę, (...), placuszki z makiem, ryby różnego rodzaju. Łamanie opłatka poprzedza tę ucztę. Jak miło słyszeć, bodajbyśmy go za rok z sobą łamali. Wygnańcy w obcej ziemi obchodziliśmy tę uroczystość u dziecka obywatelstwa polskiego X.A. Czartoryskiego.

1 styczeń 1834

Już trzy lata kończę na wygnaniu... wygnanie w starość, przebóg jak smutny stan. Zwłaszcza gdy zdolności i moralne i fizyczne ustają, gdy przeszłość smutna, teraźniejszość okropna, przyszłość nieobiecująca.

Rozdane są pomiędzy panów i deputowanych pisma dotyczące Polski i dania się silnie za nią, przy śmiałości i samolubstwie, taki stan, nie kuszę o silnem pisma tego skutku. Odebraliśmy wiadomość, że jeden z trzech okręgów, które z 700 Polakami z Prus wysłane zostały do Ameryki, zawiął do brzegów Anglii. Jeszcze starają się ci nieszczęśliwi, by im wolno było wysiąść do Francji, lub Anglii, lecz jak im pomóc, Bóg jeden tylko ratować nas może. Posłałem posłom Amerykańskiemu i Bawarskiemu egzemplarze wzwyż wspomnianego pisma.

25 grudzień 1838

W wygnaniu nawet nie opuszczają Polacy, żadnego dnia uroczystego, by sobie nie przypomnieć domowych na-

wet zwyczajów ojczystych, i tak dnia wczorajszego w wilię Bożego Narodzenia złożyli się na obiad postny w klubie, miejscu zwykłego zgromadzenia swego, by łamać opłatek i jeść zwykłe u nas potrawy. Biesiada odbyła się wesóło i spokojna a jak zwykle u nas po kilku kieliszkach, gdy sobie podchmielono, i ten nawet co nie miał za co, kazał dawać szampana.

Pamiętny od dzieciństwa ściśle z domem Księżąt Czartoryskich przyjaźni i wdzięczności związków, że to był również dzień św. Adama, imieniny cnotliwego, wygnanego dziś księcia Czartoryskiego, wzniosłem zdrowie Jego, jako męża najcnotliwszego, poświęcającego się całkiem ojczyźnie i dobru ziomek, przyjęte zdrowie z oklaskiem.

Ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu  
(Wybrał B.S.)



## PASTORAŁKI

(Misterium)

Było to czasu onego z Betlejem miasta lichego rozeszły się takie wieści że Józef cieśla ubogi gości prosi w swoje progi oto Marya Jego miła w szopie Dzieciątka powiła i schodzili się ludkowie Jego bracia kumotrowie schodzili się dziwili się i dzieciątku patrzeli się a Józefa nie stać było aby złotem im świeciło ani pańskich szat nie mieli ani łózek, ni pościeli ni pierzynki, ni poduszki ni kołyski, ni pieluszki w żłobie siano położyli i tam swe Dziecię uspili aż wnet od wieczornej zorze słońce, co już nie gorze od gór w niebo zawróciło dach stajenny ozłociło i wnet z niebia białopióre srebrnych synogarlic chóry aniołowie się zlatują i Dzieciątku usługują

„Pastorałki” Tytusa Czyżewskiego,  
Polskie Towarzystwo Przyjaciół  
Książki, Paryż, 1926.



# CZY BĘDZIE BOŻE NARODZENIE?

**W**YOBRAŹCIE sobie grupę ludzi przepycujących się nawzajem rankiem 26 grudnia: „Czy to nie wczoraj było Boże Narodzenie, — zaraz, wczoraj było 27, spójrzcie do kalendarza... więc to dzisiaj jest Boże Narodzenie... — Ależ nie, dzisiaj mamy 26, świętego Stefana. Mój stryj ma na imię Stefan. — Do licha z takim błędzeniem, trzeba zadzwonić do specjalistów z Obserwatorium. W końcu są płatni po to, żeby mierzyli czas, niechby się rozliczyli z tego brakującego dnia...”

Ale na próżno specjaliści z wszystkich obserwatoriów świata obliczać będą w nieskonczoność; zgubioną w tajemnicy sposób doba niestety się nie odnajdzie. Podobnie jak z wojną trojańską biednego Giraudoux — Bożego Narodzenia nie będzie!

Bo jak długo jeszcze, zastanówmy się, jak długo będą istniały bożonarodzeniowe noce z aniołami i pasterzami w tym bezlistosnym świecie tak odległym od dzieciństwa, tak obcym duchowi dzieciństwu; w świecie tępego realizmu, nienawiści do wysiłku, która inspirowała większość mechanicznych marzeń — od rakiety międzyplanetarnej po fotokomórkę dzięki której drzewi się same otwierają... Ta sama nienawiść do jakiegokolwiek wysiłku zgadza się — lepiej niż by się nam wydawało — z obecnym obłędem aktywności, z konwulsyjnym rozbieganiem dzisiejszym. Na co takiemu światu dzień poświęcony od dwóch tysięcy lat nie tylko najszacowniejszej tajemnicy naszej wiary, ale i odwiecznemu duchowi dzieciństwa. Duchowi, który co pokolenie uwalnia z mrocznych ścieżek powszedności niepojętym strumieniem entuzjazmu i oczyszczenia.

Boże Narodzenie to święto dzieciństwa. Dzieciństwo jest prawdziwym imieniem i duchem młodości. Duchem, który od wieków zapładnia i odnawia Historię jest właśnie duch dzieciństwa; młodość — nie jest to określenie jednoznaczne.

Wszyscy znamy młodych ludzi, którzy przez ambicję, skąpstwo, chytrą upodobniają się do przebiegłego adwokata z prowincji, tyle — że adwokat ów jest wystarczająco oddalony od dzieciństwa, żeby go już żałować, oni zaś, młodzi ludzie o których mowa, są na tyle blisko dzieciństwa, żeby się go wstydzić, a czasem i nienawidzić.

Niewielu z nas posiadało sztukę do-

bręgo starzenia się, a jakże trudne, choć inaczej, jest przejście z dzieciństwa w wiek dojrzały. Żaden człowiek nie może się poszczycić tym, że przeżył ten etap bezkarnie — chyba, że — święty albo geniusz. Istnieje też — oczywiście — owo „dojrzewanie” naturalnych darów dzieciństwa, pogłębianie doświadczeń dzieciństwa. Lecz by dojrzeć mogły te naturalne dary dzieciństwa, lub by pogłębić się mogły jego doświadczenia — trzeba najpierw umieć docenić ich wartość, trzeba ocenić i zbadać wiek dojrzały w odniesieniu do dzieciństwa — a nie odwrotnie. Święci i bohaterowie to istoty, które nie opuściły dzieciństwa i które nadały mu format swego przeznaczenia. Któryż z obecnych nastolatków ośmieliłby się odnaleźć w przejmującej przygodzie świętego Franciszka z Asyżu lub w dziejach Aleksandra Wielkiego — ducha Dzieciństwa, **swój własny** dzieciństwa?! Niestety... Nastolatkowi wydaje się, że wyczerpał już wszystkie zasoby swego dzieciństwa, i gotów jest do odrzucenia tegoż, jak odrzuca się skórę wyciśniętej pomarańczy. A to co odkrywa z entuzjazmem neofity na pierwszym szczeblu życiowego wtajemniczenia jest niczym innym, jak powagą głupca, kordialnością karierowicza, cynizmem hedonisty — słowem — są to własne jego złe skłonności odmienione nie do poznania, zamaskowane katotyństwem lub hipokryzją.

Drodzy młodzi czytelnicy, którym te słowa napisane z okazji Bożego Na-



rodzenia wydadzą się z pewnością surowe, bądźcie czujni! Nie o spór szkolarski tu chodzi, spór Starych z Młodymi... Ale o zagrożenie Ducha Młodości. Kiedy słabnie duch młodości, w świecie zwycięża Duch Starości. Kiedy zdecydowanie zwycięża Duch Starości — zaczyna się wszędzie wielka, powszechna zagłada młodych...

Młodzi przyjaciele wiercie mi proszę — ten świat jest stary, on was już nie rozumie, gorzej — gotów was znienawidzić. Bez skrupułów poświęci was jutro dla desperackich eksperymentów. I czy jest on komunistyczny czy faszystowski, dyktatorski czy liberalny — jest ten świat zawsze stary. Można by rzec — grzybiały. Skrajna zgrzybiałość bliska jest monstualnego dzieciństwa, podobna jest do niego rak do embriona. Ma tę samą moc produkowania komórek — tyle że bez hamulca i bez celu, bez sensu. Ten świat — bezduszny, zmechanizowany, pożerany przez swe mechaniczne twory jak chore zwierzę przez robaki — jest stary, zużyty. Jego zgrzybiałość objawia się w odrzucaniu wszystkiego co zachwyca w dzieciństwie, w podporządkowaniu wyobraźni pragmatyce. Jest niczym olbrzym, któremu wybito oczy, żeby zrobić z niego przemysłną maszynę. Starcza dekadencja tego świata to również jego nienawiść do cierpienia i ubóstwa przybrana w maskę altruizmu.

W istocie zaś jest to skrywanie niechęci do ułomnego i biednego, czyli do każdej istoty społecznie „nieużytecznej”, „nieprodukcyjnej”. Innymi słowy — zgrzybiałość tego świata dać w jego skrajnym egoizmie, jakże podobnym do egoizmu starczego, a tym wstrętniejszego jeszcze, że skłonnego (to inna cecha starcza) do rozczulenia i do łez.

Duch dzieciństwa w swej własnej osobie nie potrafiłby przywrócić młodości temu odstręczającemu umrzykowi, który na próżno posila się krwią młodości. Młodzi ze wszystkich stron świata wiedźcie, że jeśli nie będziecie chronić najcenniejszego daru — dzieciństwa, duch starości was dopadnie i pokona — zanim zdążyte się zestarzeć.

Georges BERNANOS  
Français, si vous saviez  
"L'Intransigeant", 25. 12. 1947  
Spolszczyła Anna AFALSKA

Niektórzy twierdzą, że gdyby żył dziś św. Paweł Apostoł dysponowałby siecią stacji radiowych i telewizyjnych, oraz setkami tytułów prasowych. Rzeczywiście ten Pielgrzym charakteryzował się niespożytą energią i niezwykle silną wolą. Tym niemniej dzisiaj

tego i Stolicy Apostolskiej. Dziennik nadawany jest w siedmiu językach. Najobszerniejszy jest program włoski nadawany niemal przez całą dobę. Pozostałe programy narodowe składają się z 15 minutowej audycji wieczornej oraz z jej powtórzenia następnego

## O CZYM PISZĄ W POLSCE

szczy Kościół również nie zasypuje gruzek w popiele. Poszczególne Kościoły lokalne wydają własne pisma, organizują ośrodki video, a i nierzadko posiadają stacje radiowe. Przykładem choćby Francja z paryskim radiem cybiskupim Notre Dame.

Inaczej nieco rzecz się przedstawia w krajach rządzonych przez komunistów. Tutaj i św. Paweł prawdopodobnie niewieleby wskórał. Państwowy monopol środków masowego przekazu należy bowiem do kanonów tego systemu społeczno-politycznego. Na szczęście nie wszędzie udaje się go realizować. Tak się ma rzecz na przykład, lub przede wszystkim, w Polsce. Prasa katolicka, choć znajdująca się w znacznej mniejszości, odgrywa w życiu społecznym nieproporcjonalnie dużą rolę. Pomimo to 31 ukazujących się tytułów dalekich jest od nasycenia rynku czytelniczego. Brak przecie ciągle dziennika katolickiego, zaś niezależne radio pozostaje w sferze marzeń. Marzeń tych ni zastąpi w pełni rozwijająca się sieć katolickich ośrodków video.

Póki więc co jedynym katolickim radiem nadającym po polsku pozostaje Sekcja Polska Radia Watykańskiego. Właśnie Radiem-Watykan zajmuje się poznański „Przewodnik Katolicki” z 23 listopada b.r. Rozpoczęło ono swoją działalność 12 lutego 1933 roku. Budowę radiostacji watykańskiej kierował na zlecenie Piusa XI, genialny wynalazca radia Guglielmo Marconi. W dniu jej otwarcia miał on wyznać: „Z pomocą Bożą, która tak tajemnicze siły oddaje na użytek ludzkości, mogłem sporządzić ten instrument, który wiernym całego świata dozwoli słuchać żywego słowa Głowy Kościoła”. Obecnie emituje się audycje w 17 językach, w tym i w polskim. Radio Watykańskie informuje przede wszystkim o działalności i nauczaniu Ojca Świę-

dnia rano. Programy przygotowuje centralna redakcja radia mająca stałą łączność z Sekretariatem Stanu, Biurem Prasowym, Osservatore Romano, ale również połączenia teleksowe z największymi agencjami światowymi. Poza tym ekipa Radia towarzyszy zawsze Ojcu Świętemu w Jego licznych podróżach.

Audycje w języku polskim Radio Watykańskie zaczęło nadawać w 1938 roku. Początkowo nadawano je dwa razy w tygodniu. Z upływem czasu ilość audycji powoli, acz stale się zwiększała. Obecnie emituje się je codziennie. Stacją kierują jezuici. Ekipa składa się zasadniczo z dwóch osób. Dzisiaj tworzą ją ks. Florian Pełka pełniący funkcję kierownika i ks. Stanisław Pomykała.

Najbardziej znanym polskim redaktorem Radia był ks. Józef Warszawski, słynny „Ojciec Paweł” z Powstania Warszawskiego. Do Watykanu przybył on z Londynu, gdzie był promotorem polskich Sodalicji Mariańskich. Dopiero u schyłku swojej pracy przysłało mu współpracownika. W jego audycjach, poza serwisem informacyjnym, dominowała apologetyka. Był to, jak sam określa, okres „Burzy i Naporu”. Nierzadko lajało go Radio-Warszawa.

Warto przypomnieć również trzykrotne wystąpienie w Radio Watykańskim na jesieni 1939 roku ówczesnego Prymasa, kardynała Augusta Hlonda. W tych trudnych dla narodu chwilach starał się umacniać ducha Polaków wołając: „Nie zginęłaś Polsko!”

Autor omówionego wyżej artykułu („Radio zwiastujące — Christus vincit”), Jerzy Pietrzak słusznie zauważa, że historia polskich audycji z Watykanu ciągle czeka na swojego kronikarza. Jest to praca, którą ze wszelkich miar należy wykonać.

Cezary RUDZKI

● Amnesty International przedstawiła najnowszą dokumentację o naruszaniu praw człowieka w Republice Południowej Afryki. Wymienia się tam m. in. liczne przypadki aresztowań za przekonania, przetrzymywanie w więzieniach bez procesu, tortury i maltretowanie, egzekucje bez wyroku sądowego. Od chwili wprowadzenia stanu wyjątkowego w RPA tj. od 12 czerwca 1985 r. przetrzymywano w więzieniach bez procesu ok. 20 tys. osób. Maltretowanie więźniów jest na porządku dziennym. W sumie od września 1984 r. do dnia dzisiejszego w RPA aresztowano 30 tys. osób, a zabito 2300 osób. W 1985 r. wykonano 137 wyroków śmierci.

## KRONIKA

● W 1997 r. brytyjska kolonia w Hongkongu ma być włączona do Chin. „Dla 267 tys. katolików Hongkongu będzie to godzina próby wiary” — oświadczył bp Wu w piśmie okólnym do biskupów całego świata. Wyraził nadzieję, że po roku 1997 respektowana będzie wolność religijna, ale będzie to zależeć od poparcia ze strony chrześcijan całego świata.

● Konferencja Episkopatu Brazylii ogłosiła dokument na temat problemów społecznych kraju. W dokumencie podaje się, że 36 mln dzieci brazylijskich żyje w opuszczeniu, poza domem rodzinnym. Z liczby tej ok. 7 mln dzieci zeszło na drogę przestępczą. Na 130 mln Brazylijczyków 50 proc. pracuje w warunkach na wpół niewolniczych. Biskupi twierdzą, że ta tragiczna sytuacja jest związana z „nieładem etycznym obecnego modelu ekonomicznego i kulturalnego”, oraz ze strukturą społeczeństwa brazylijskiego, która „rodzi spiralę biedy, chorób, analfabetyzmu i przedwczesnej śmierci”. W 1987 r. Kościół brazylijski ogłosi wielką akcję w celu podjęcia opieki nad niepełnoletnimi, zwłaszcza nad dziećmi bez domów, które schodzą na drogę przestępstwa.

# JECHAĆ DO LWOWA...

● Parlament zachodniemiecki podwyższył ostatnio do wysokości 80 mln marek dotację na fundację federalną o nazwie „Matka i dziecko. Ochrona życia nienarodzonego”. Podwyżka ta dotyczy bieżącego roku oraz dwu lat następnych. Fundacja powstała w 1984 r. Do chwili obecnej udzieliła pomocy ponad 60 tys. kobiet tam spodziewających się dzieci.

● W salonie sykstyńskim Biblioteki Watykańskiej została otwarta wystawa na temat stosunków Stolicy Świętej z Austrią. Obejmuje ona 270 oryginalnych eksponatów. Wśród nich są rękopisy, dokumenty, ryciny, rysunki i inne dzieła sztuki. Wystawa będzie czynna do 26 kwietnia 1987 r.

● Jeden z najokazalszych placów stolicy Argentyny, Buenos Aires, otrzymał nazwę Plaza Maimonides. Moses Maimonides (1135 — 1204), urodzony w hiszpańskiej Kordobie, zasłynął jako lekarz, teolog i filozof. Głównym powodem uczczenia Maimonidesa jest fakt, że przeszedł on do historii jako „ojciec dialogu między trzema wielkimi religiami monoteistycznymi”.

● „Adweniat” organizacja charytatywna biskupów RFN poinformowała, że w przeciągu 20 lat swego istnienia przeznaczyła dla Kościoła w Ameryce Łacińskiej pomoc wartości ponad miliarda dolarów.

● 23 listopada Konferencja Episkopatu Filipin ogłosiła rok 1987 Rokiem Eucharystycznym w tym kraju. Celem tej inicjatywy jest wzmocnienie duchowej jedności Filipińczyków.

● Kard. Sin wyraził poparcie dla nowej konstytucji Filipin, która zostanie poddana pod referendum 2 lutego 1987 r. Jego zdaniem, będzie ona należała do najlepszych w świecie, ponieważ jest po stronie ubogich.

● Radio węgierskie przewiduje nadanie cyklu audycji, w czasie których czytane będą wyjątki ze Starego Testamentu, w celu zapoznania młodzieży z kulturą biblijną, co jest „niezbędne do zrozumienia literatury węgierskiej”.

No i pojechałem po 47 latach nieobecności. Przyjaciele ostrzegali: „nie jedź, bo będzie Ci smutno, nie ma już Lwowa, więcej Lwowa znajdziesz we Wrocławiu, niż we Lwowie.

Pojechałem i zobaczyłem „mój Lwów” w nie moim kraju. Warszawa — Lwów, przez Rzeszów samolotem. Stamtąd pociągiem do Przemyśla. Tam kupujemy bilety do Lwowa i przechodzimy na specjalny peron, gdzie stoją już, sowieckie szerokie wagony. Wrażenie przygnębiające. Wagony koloru brudno-brązowego, okna mało przejrzyste, dawno nie myte, ale za to przysłonięte nylonowymi firaneczkami. Przy wejściu do wagonu kotłownia z kotłem, węglem i szufla do ładowania. Kocioł ten służy do ogrzewania wagonu, oraz do gotowania wody, można więc dostać „kipiatok” czyli wrzątek do zaparzenia herbaty.

Ostatnia polska stacja Medyka, przejeżdżamy granicę, widać kolczaste ogrodzenia, reflektory. Mościska. Z budynku wysypuje się gromada celników, która za chwilę już przeszukuje pilnie cały wagon, szczególną uwagę zwracają na papiery, książki, znajdują płytę Stabat Mater Karola Szymanowskiego, na odkładce reprodukcja Piety, niepodoba im się również książka X; Malinskiego. W końcu zadowolają się moim oświadczeniem, że zabieram to ze sobą do Paryża, gdyż wracam przez Węgry. Ruszamy, jest już ciemno gdy wjeżdżamy na lwowski dworzec, takśówa zawozi nas do tego, co kiedyś było hotelem George'a, a teraz jest hotelem Inturist, na placu, dawniej Mariackim, dziś Mickiewicza. Św. Jerzy spogląda nadal na Lwów z fasady hotelu. Budynek postarzały, zakurzony. Dostaliśmy pokój nr 23, z widokiem na plac Mariacki i na Bernardynów. Ponieważ jest jeszcze za wcześnie na kolację, wyruszamy na miasto. Ulice dość słabo oświetlone, Akademicka (obecnie Szewczenki) jest w dużej części zamknięta dla ruchu kołowego. Pod placem Mariackim zrobiono przejście podziemne, od rogu Akademickiej, do dawnego sklepu Gabriela Staraka (obecnie spożywczy). Przechodzę obok kamienicy „Sprechera”, gdzie dawniej był najlepszy sklep z papierami, Krawjańskiego. To właśnie w tym sklepie, ojciec kupił mi pierwszego Parker'a, na maturę, działa do dzisiaj. Dalej był sklep Meinl'a (kawa, herbata) i księgarnia Gubry-Gubry nawicza. Idziemy do rynku, pusto i ciemno, tu tutaj u „Stadmuller'a” niedowidzący śpiewak grał i śpiewał „Pięciu chłop-

ców z Albatrosa”, wracamy przez plac Halicki do hotelu. Jest tutaj kilka restauracji, przechodzimy przez kolejne sale, to w tej głównej brzmiała muzyka ze specjalnego balkoniku, lśniły światła i żółte marmury, balowali Ułani Jazłowieccy, piękne suknie, białe rękawiczki, mazury, kotyliony, tanga... teraz pusto, parę osób wyglądających na urzędników w podróży służbowej.

Rano wyruszamy na dalszą wędrowkę, idziemy przez Rejtana, ulice słynną z najlepszego lwowskiego dancingu w Bagateli, tutaj też funkcjonowała czarna giełda dolarowa. Ulica Legionów przywołuje z pamięci rodzinę Bohdanów z którą się przyjaźniłem. Tu stały dwa alabastrowe sfinksy, pochodzące podobno z Wersalu. Tutaj też jeden z chłopaków, Tunio stał w nie śpiewając na cały głos arie operowe, a my na ulicy spędziliśmy tłum widzów, dając do zrozumienia, że to śpiewa Kiepora, czy sam Didur. Zbliża się trzynasta, idziemy na Mszę św. do katedry, schodzi się nań cały polski Lwów, katedra przepętniona. Sze reg ludzi modli się z ręcznie przepisywanych modlitewników, trzymając w rękach zeszytiki. Atmosfera przejścia i skupienia, proboszcz mówi o przykazaniu „Nie kradnij” i jego konsekwencjach w życiu codziennym.

Pastanawiam skorzystać z tego pobytu i uzyskać świadectwo urodzenia, idę do mojej parafii Św. Mikołaja, okazuje się, że parafii nie ma, dokumenty znajdują się zaś w kościele Dominikanów. Barokowy ten kościół dobrze utrzymany, służy obecnie za muzeum ateizmu, tutaj odbywają się kazalowe lekcje dla wycieczek szkolnych.

Ostatni etap naszej pielgrzymki to Łyczaków. Znam tu każdy dom, każdą latarnię, tędy chodziłem do gimnazjum. Dojeżdżamy do bram cmentarza — parku, natura ma tutaj te same prawa co umarli.

Doszliśmy w końcu do poszukiwanej kwatery. Nie jest ona zruwnana z ziemią jak mi to opowiadano ani zao-rana. Pomnik centralny istnieje na dal, tak samo jak półkoliste tarasy z mogiłami, zginęły rozkradzione wszelkie płyty i napisy. Była to praca miedocyczna, prowadzona przez okoliczne zakłady kamieniarskie.

Wsiadam do pociągu z poczuciem niespełnienia, tyle jeszcze rzeczy

(Dokończenie na str. 7)

## „Jean-Marie Domenach o swojej podróży do Polski”

Były wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „Esprit” odwiedził, wraz z zespołem redakcyjnym pisma, Polskę. Ostatni raz był w naszym kraju w roku 1975, teraz po latach, pisze artykuł we „France Catholique” będąc pod wrażeniem ostatniego pobytu, sprzed paru tygodni. „Ludobójstwo moralne” taki tytuł nosi jego tekst, uderzony został tym co zobaczył „...odnalazłem ten sam pejzaż, ludzie, którzy idą rankiem wzdłuż drogi, wozy konne i kolejki przed sklepami, wszystko to przypomina mi Francję w latach 40-50”. Przyjaciół Polski, czego wielokrotnie dawał dowody przy przeróżnych okazjach pyta retorycznie „...czemu to właśnie oni, a nie my? Oni, którzy pierwsi wkroczyli w wojnę, którzy się buntowali, w powstaniach zostali zdziśiatkowani i podporządkowani jak żaden inny naród europejski. Za co płacą? za swój heroizm? czy za przestępstwa innych?”

Domenach uderzony jest rolą jaką odgrywa Kościół w walce o utrzymanie tożsamości narodowej, poprzez parafie i klasztory stara się oddziaływać na społeczeństwo. To właśnie w dużej mierze dzięki niemu, komunistom nie udało się zniszczyć narodu, odebrać mu jego godności, dumy i pamięci, co niestety zaszło, pisze Domenach, w Rosji czy Czechosłowacji. W Polsce wydaje się, że przyjęto nieco odmienną taktykę, doprowadzając kraj do takiego stopnia biedy i nędzy, że pojawia się pytanie jak długo jeszcze Polacy będą mieli siłę trwać w oporze. Autor zauważa, że obok tych którzy nie chcą się poddać, rozwija się cały nurt życia społecznego, nazywany przez Domenacha, antysolidarnością, czyli całe życie dolarowego świata, czy półświata. Moneta zagraniczna, okazuje się silniejsza od ideologii.

„Robotnicy tureccy i arabscy przyjeżdżają z Berlina na „dzieczęta” do Warszawy, ci „niewolnicy kapitalizmu” są tutaj jak królowie w porównaniu z obywatelami ludowej i robotniczej, Republiki Polskiej.

Coś takiego widziałem tylko w krajach trzeciego świata. Naród ten, naj-

bardziej szlachetny w Europie, najodważniejszy, stoi w obliczu moralnego ludobójstwa...” Ale władza nawet w obliczu głodu i bankructwa nie rezygnuje z podtrzymania marksistowskich dogmatów, odmawiając zgody na utworzenie fundacji rolniczej. Polacy jeszcze się opierają, jednak największe zagrożenie to właśnie degradacja moralna, chęć utopienia rzeczywistości w alkoholu, zapomnienia przy pomocy kieliszka. Zagrożeni są tak starzy, czujący się niepotrzebni, jak i młodzi, mający perspektywę czekania 15 czy 20 lat na mieszkanie. Pojawia się chęć ucieczki za granicę by tam zrealizować swoje plany zawodowe. Ucieczka lub zniechęcenie, takie jawią się dwie alternatywy.

Kościół nie zostawi społeczeństwa, nie przestanie zabierać w jego imieniu głosu. Kraj w przerażającym tempie chyli się ku gospodarczemu upadkowi, niesie to w sobie niebezpieczeństwo wybuchu społecznego, którego już nikt nie zdoła opanować. Szukanie dróg wyjścia leży więc we wspólnym interesie, trzeba jeszcze aby władza zechciała przyjąć to do wiadomości.

Cóż może w tej sytuacji zrobić dla Polaków Europa? zapytuje Domenach.

Wzywa on do udzielenia Polsce pomocy technicznej i finansowej, pragnie on by zmienić nieco ton w jakim się mówi o tej pomocy, to znaczy przestać mówić o sankcjach, nie zaprzestając jednak domagania się respektowaniu porozumienia z Helsinek. Myślenie w tym kierunku, kierunku objęcia Polski pomocą przez Europę, powinno pojawić się w myśleniu politycznym tułtejszych przywódców. Wszak Polska leży w Europie co często się zapomina, iakby można było wykreślić te 40 milionów ludzi z jej mapy. Uratowanie Polski winno być celem bogatych państw Zachodu.

Zgadzać się z Domenach’iem trudno jednak nie mieć wątpliwości co do intencji polskiego rządu, który jak to kiedyś powiedział jego rzecznik „sam się zawsze wyżywi”. Sam pomysł wydaje się godny poparcia, niechże więc ekonomiści zachodni o potężnych gło-

(Dokończenie na str. 8)

● Hiszpania bije rekordy w dziedzinie turystyki. Ten 35-milionowy kraj odwiedzi w tym roku 36 milionów turystów.

● Z okazji odbywającego się Krajowego Kongresu Eucharystycznego w Managui (Nikaragua) Ojciec św. skierował specjalny list, w którym wyraził poparcie dla pasterskich decyzji i działań biskupów Nikaragui.

● A. Silvestrini, sekretarz Rady ds. Publicznych Kościoła, przypomniał, że w Akcie końcowym w Helsinkach uznane zostało prawo do wolności religijnej. To prawo jest jednak na co dzień gwałcone również w krajach, które ten akt podpisały.

● Po trwającej 5 lat ogólnonarodowej dyskusji biskupi USA zatwierdzili tekst listu pasterskiego na temat katolickiej nauki społecznej i gospodarki Stanów Zjednoczonych.

● „Wikariat solidarności” archidiecezji Santiago de Chile istnieje już od 11 lat. Organizacja oferuje osobom prześladowanym pomoc prawną i charytatywną oraz gromadzi informacje na temat łamania praw człowieka w Chile.

● Jeden z placów Nowego Jorku został nazwany pl. ks. Jerzego Popiełuszki.

● W Ghanie wydano całkowity zakaz publikowania w prasie, radiu i telewizji materiałów reklamujących środki antykoncepcyjne.

● W Czechosłowacji ponad 14 tys. osób podpisało petycję przeciwko wprowadzeniu w życie nowej ustawy o przerywaniu ciąży.

● W Chantilly we Francji spotkali się producenci i reżyserzy z 20 krajów, którzy dyskutowali o katolickich programach telewizyjnych.

(Dokończenie ze str. 5)

chciałbym zobaczyć, dotknąć ręką, no cóż może następnym razem.

Lwów jest miastem smutnym, język polski można usłyszeć tylko koło katedry. Miasto jest szare, monotoniem odmalowane. Wnętrza kamienic i klatki schodowe cuchną uryną, karbołem i pomyjami. Bruki okropne, stare kocie łby w złym stanie, toteż tramwaje piszczą na zakrętach, jeszcze gorzej niż przed wojną.

Taka była moja podróż do Lwowa.

Na podstawie relacji R.  
(Opracował: Bogusław SONIK)

● W więzieniu w Barczewie zmarł w wieku 90 lat hitlerowski zbrodniarz wojenny E. Koch.

● Kary 30 i 35 tys. zł. grzywny oraz przepadek samochodu orzekło Kolegium ds. wykroczeń w Poznaniu za przewożenie nielegalnych wydawnictw.

● Delegat polski w ONZ, stwierdzając, że Polska zawsze popierała swobodny przepływ informacji, skrytykował działalność radia „Wolna Europa”.

● 11 listopada Ojciec św. odprawił w bazylice watykańskiej uroczystą Mszę św. za członków kolegium kardynalskiego oraz za biskupów zmarłych w tym roku. Należy przypomnieć, że wśród pięciu kardynałów i osiemdziesięciu czterech biskupów zmarłych do końca października br. znajduje się trzech biskupów polskich: sufragan w diecezji sandomiersko-radomskiej — bp Stanisław Sygnet, ordynariusz gorzowski — bp Wilhelm Pluta oraz sufragan w archidiecezji warszawskiej — bp Jerzy Modzelewski.

● W dniach 12-18 października w ramach tegorocznego Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej zorganizowano w kościele ojców kapucynów w Gdańsku Tydzień Ekologiczny. Na rozpoczęcie tygodnia bp gdański, T. Gocłowski, w homilii ukazał zagrożenie, na jakie napotyka współczesny człowiek w związku z dewastacją środowiska naturalnego. Celem Tygodnia Ekologicznego było nie tylko zwrócenie uwagi na zagrożenia, ale przede wszystkim poszukiwanie pozytywnych rozwiązań.

● W Gdyni, u zbiegu ulicy Świętojańskiej i bulwarów nadmorskich odsłonięty został pomnik Ojca św. Jana Pawła II — dzieło artysty rzeźbiarza Wawrzyńca Sampa oraz odlewników: Juliusza i Jerzego Kwiecińskich z Pleszewa. Pomnik usytuowany jest przed starym kościółkiem Najśw. Maryi Panny Królowej Polski, gdzie od 1 września trwa stała adoracja Najświętszego Sakramentu.

(Dokończenie ze str. 7)

wach siadają i przygotowują plan wyciągnięcia naszego kraju z dna, niech przedstawią warunki jakie musiałyby być do tego spełnione, niech taki nowy plan Marshalla stanie się publiczną własnością całego narodu. Może będzie miał więcej szczęścia niż fundacja rolnicza. Prace takie powinni podjąć czy też zainicjować polscy ekonomiści na Zachodzie, nie zadawalając się wyłącznie pisaniem mniej, lub bardziej zgrabnych artykułów.

**Stanisław GRODZKI**

## LISTY OD MOJEGO DIABŁA

Drogi Panie, moja szczerość zdziwi Pana zapewne. Co to za diabeł, który relacjonuje swoje sprawy nieznanemu z taką naiwnością! Z tym, że Pan nie jest dla mnie osobą nieznaną, drogi Panie.

Trafiły mi do rąk i do przekonania niektóre pańskie artykuły ogłaszane na łamach „Figaro”. Oczywiście, nie rozmawiałbym z Panem tak swobodnie, jak to Pan słusznie zauważył, gdyby należał Pan do tej rasy ludzi, których Kościół katolicki uważa za „świętych” i wpisuje do kalendarzy lub skreśla ze spisu, kiedy okaże się, że nie istnieli. Jedna taka nieszczęsna kreatura może mi przysporzyć więcej kłopotów niż cała reszta ludzkości. Taki hippis, fantasta w łachmanach, wagabunda Italów, znany jako Franciszek z Asyżu, o dwa wieki opóźnił nadejście słodkiej apostazji zbiorowej, jaka u was nosi imię „Renesansu”. Złośliwy ten figlarz przez swoją poezję i ekstrawagancką manierę rozszerzania wpływu Ewangelii na całą przyrodę, wygłaszając bezsensowne rozszerzanie do „brata wilka” albo do „siostry wody” — a dlaczego nie do jej mikroskopijnego kuzyna Acerus sarcopte, który wywołuje świerzb? — spowodował niesłychany przyływ świeżości w chrystianizmie, co zmusiło mnie do poważnych zmian w planowaniu.

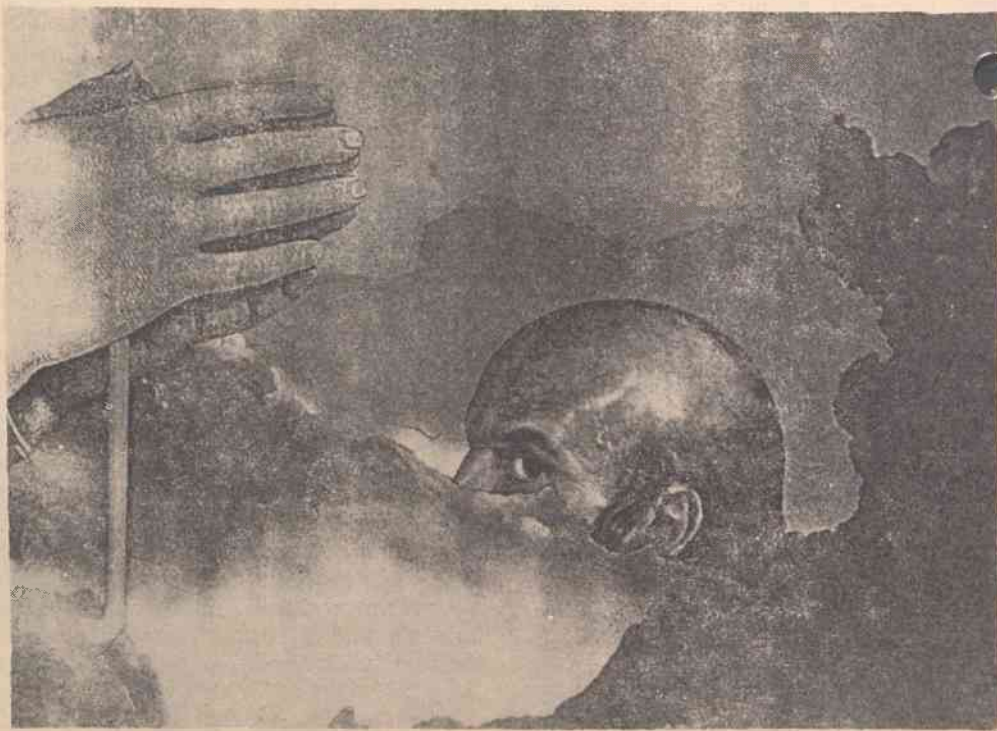
Mała, niepozorna dziewczynka, jak Teresa z Lisieux, ona też zabiła mi nie lada klina przez swój upór, swoje ró-

że i tę pokorę wręcz nie do zniesienia, która czyniła spustoszenie na moim terytorium. Podczas gdy ja zwoziłem rozumy, ona kruszyła serca tysiącami, milionami nawet. Udało mi się położyć kres jej działalności, przynajmniej tak sędzę, wydając ją w ręce waszych księży psychoanalityków, którzy z wrodzoną im zręcznością rychło sprowadzili jej mistykę do poziomu zjawisk zwyczajnych. Wy tłumaczyli na przykład, że to jej wspomnienia z dzieciństwa stanowią przyczynę sprawczą pragnień, aby róża padały deszczem z nieba, bo przecież jej niańka miała na imię Róża. Stąd wniosek, że gdyby nazywała się Marguerite, to na życzenie Teresy padałyby deszcze margarytek. Wasze szczęście, że nie dano tej dzielnej istocie imienia „Kamionka”, bo byłibyście narażeni grad kamieni z niebios.

Nic nowego Panu nie wyjawię mówiąc, że nie należy Pan do tej groźnej rasy ludzi. Nie jest Pan świętym, mogę zaufać Panu. Nie zmieni Pan nic z tego, co musi się stać, a o czym pouczą Pana następne stronicie.

**Sługa uniżony  
Diabeł**

Fragment książki: „Les 36 preuves de l'existence du diable”. Tł. Zygmunt Zawogowicz („W drodze” nr 4, 1986).





# WIETNAM DZIŚ

Michel Tauriac miał ostatnio okazję spędzić trzy tygodnie w Wietnamie. Do 1970 roku jeździł tam wielokrotnie.

Poniżej prezentujemy wywiad jakiego udzielił on po powrocie z tego kraju dziennikarzowi „France Catholique”.

**Michel Tauriac:** Moje więzi z Wietnamem trwają od dawna. Po raz pierwszy znalazłem się w Sajgonie dokładnie w dniu moich 20-tych urodzin. Sądzę, że moje zaangażowanie się w trwającą ówczesnie tam wojnę, miało podstawy ideologiczne. Wróciłem tam w 1955-tym roku. Już zdemobilizowany, jako wysłannik jednej z agencji prasowych. Wtedy napisałem serię artykułów pod wspólnym tytułem — „Godzina amerykańska w Indochinach”. W tym okresie obecność Amerykanów była dyskretna ale bardzo realna; wiemy, jak liczne były grupy „pomocy”, nie tylko militarnej. Wracałem do Sajgonu wielokrotnie, ostatni raz byłem w 1970-ym roku.

**Remi Montour:** Nie znał pan więc najważniejszych momentów przed 1975-ym rokiem?

— Niestety nie i mogę szczerze wyznać, że czuję się tym sfrustrowany. Prawdziwy Wietnam zginął w dniu zdobycia Sajgonu. Cokolwiek można by mówić o tym okresie, był to jednak kraj wolny w porównaniu z dzisiejszą rzeczywistością. Wracam właśnie stamtąd po trzytygodniowym pobycie z moim przyjacielem, fotografem, François Gueret. Przejechaliśmy razem 300 km. Byliśmy zarówno na Północy, jak i na Południu. Do dziś nie rozumiem, jakim cudem dano mi wizę, gdy większość moich kolegów czeka na nią bez rezultatu prawie rok.

**— Co uderzyła pana najbardziej po tej 10-letniej przerwie?**

Przeżyłem przede wszystkim ogromną radość, mogąc odnaleźć kraj, który dobrze znałem i naprawdę pokochałem. Widok pól ryżowych, lśniących w słońcu przejął mnie do głębi. Ale bardzo prędko zorientowałem się, jak wiele się zmieniło: te mundury „à la russe”, cała ta sztywność, którą można odnaleźć np. w Niemczech Wschodnich, przeraźliwy smutek ulic.

I ludzie, nieszczęśliwi, którym brakuje nie tylko „chleba” ale i wolności. To był dla mnie prawdziwy wstrząs!

**— Czy ten kraj znajduje się w niekończącym się stanie wojny?**

— Wojna trwa do dziś. Tylko jest to teraz wojna „milcząca”, tym bardziej tragiczna, że wietnamsko-wietnamska. W tzw. „miejscach świętych”, które długo okupowały wojska Viet-Kongu, zgrupowały się teraz duże grupy partyzantów. Są to potężne lasy na Południu. Jak wielu ludzi znajduje się w armii trudno podać dokładną cyfrę. Były ambasador Wietnamu w Paryżu, który teraz zajmuje wysokie stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, powiedział mi, że zdarzały się nawet naloty spadochronowe. Oczywiście, wygodnie było mu podawać tego typu informacje, popierające propagandę rządową, mającą na celu walkę z kontrrewolucją. To tłumaczy też różniące się od siebie dane, dotyczące ilości więźniów politycznych: 7000 wg. informacji reżimu, 500 000 wg. danych o pozycji. Nawet jeśli ta ostatnia cyfra jest przesadzona, bliższa jest prawdy od oficjalnej.

**— W jaki sposób opozycja wietnamska, mająca jako wsparcie, symboliczny „mur za plecami”, może się ludzi że obali ustrój komunistyczny?**

— Przede wszystkim większość społeczeństwa jest po ich stronie. Pewna osoba, będąca zresztą po stronie reżimu, opowiadała mi, jak około 100 km. od Sajgonu, została zatrzymana jadąc samochodem, przez uzbrojoną grupę ludzi, która zaprowadziła ją z całą „obstawą” na polanę w lesie. Tam, zostali poczęstowani herbatą, młodzi ludzie rozdali im ulotki i podziemne gazetki. Musieli wysłuchać pięknej przemowy politycznej. Potem sprawdzono ich dokumenty i puszczono! Wszyscy śmiali się, jak gdyby udało im się zrobić dobry kawał rządowi. Dokładnie tak to wyglądało za czasów Viet-Kongu. Myślę, że 95-proc. Wietnamczyków jest po ich stronie.

**— Nawet na Północy?**

— Dokładnie tak samo, nawet jeśli nie okazuje się tego tak wyraźnie i odważnie, jak na Południu. Gdy wró-

ciłem do Francji, pewien wietnamski komunista powiedział: „Może pan do rzucić jeszcze 3 proc....” Byłoby więc ich 98 proc.

**— Jak rząd pozbawiony praktycznie poparcia społecznego może utrzymać narzucone przez siebie prawa?**

— Słuszne pytanie. Całe społeczeństwo jest pilnie strzeżone i podzielone na kwartaly, których szefowie co wieczór muszą składać raporty. To brzmi nieprawdopodobnie, ale np. nie wolno panu wyjść z własnego domu bez specjalnego pozwolenia. Jest pan związany swoją pracą, której nie wolno panu zmienić — jeśli oczywiście pan tę pracę ma. To też ma pan prawo do pracy tylko po poddaniu się specjalnym przepisom, a w razie złamania któregoś z nich jest pan zmuszony do publicznego przyznania się do winy.

Jeżeli ma pan pecha i popełni jakiegokolwiek przewinienie, jest pan pozbawiony swego „ho khau”, który jest zarówno certyfikatem zamieszkania, dowodem osobistym i kartką żywnościową. Ten dokument jest niezbędny do życia. Bez niego przestaje pan istnieć legalnie staje się pan nikim.

Do dziś widzę w porcie Sajgonu młodych, w wieku 25-30 lat, zawszonych, leżących na matach. Ich cały majątek stanowią puszki od konserw w których mają trochę užebranego ryżu z wodą.

Organizowano też ogromne deportacje w okolice zupełnie nienadające się do uprawy i niezdrowe pod względem klimatycznym. Ci zesłańcy masowo wracali — po kryjomu oczywiście — do miast, gdzie powstawały, podobnie jak w Meksyku, czy Rio, całe dzielnice slamsów. Te deportacje ustały, po prostu ludzi było zbyt wielu, rząd nie mógł sobie z nimi poradzić. W tych dzielnicach „ubogich”, niektórzy ukrywają się przed policją ponad od 10 lat. Są to ci, którym udało się zbiec z obozów „reedukacyjnych”.

**— W jaki sposób ludzie żyjący w takiej nędzy, są w stanie wyżyć?**

— Na szczęście istnieje tam duże poczucie solidarności. Rodziny poma-

(Dokończenie na str. 10)

gają sobie w miarę możliwości. Wykonują najdziwniejsze zajęcia: profesor sprzedaje papierosy na rogu ulicy, jego żona równocześnie zajmuje się sprzedażą zupy, a syn sandwiczów. W taki sposób dają sobie radę! Powszecchny jest też nielegalny handel.

— **Zatem, jak wygląda pokój, którego domagaliśmy się dla Wietnamu?**

— Oczywiście, nie w ten sposób wyobrażaliśmy sobie skutki tej walki. Pokoju nie ma. Powinniśmy dalej wołać „Pokój dla Wietnamu” i gdy teraz, w niektórych dzielnicach Paryża widzę ten napis, którego czas nie zdolał zetrzeć, sądzę, że jest on dzisiaj bardziej aktualny niż wtedy.

Pokój nie istnieje, naród cierpi. Pewnego dnia, stary wietnamczyk powiedział mi: „to może okrutne, nie móc codzień zjeść do syta, ale stracić nadzieję, to jeszcze gorsze...”.

— **Exodus „boat-people” trwa ciągle?**

— Tak, niestety, licząc po 25000 do 30000 osób rocznie, nie mówiąc o tych, którzy nigdy nie dotarli do celu... Wietnamczycy uciekają przede wszystkim przed widmem głodu i więzienia. Wielu z nich nie chce też iść do wojska, żeby bić się w Kambodży.

— **Jak wygląda sytuacja Kościoła na Północy?**

— Większość księży przeszła na Południe, w 1954, tuż przed zdobyciem tam władzy przez komunistów. Odeszli, często na czele swoich parafian. Ci którzy zostali, byli na ogół już bardzo starzy. Wszystkie seminaria zostały pozamykane. Pozostała jedna grupa dziesięciu seminarzystów przy arcybiskupie. Ci, niestety mogą być kształceni tylko za pozwoleniem władz. Wobec tego trzeba pokazać „białą łapkę”, być dobrze widzialnym przez reżim, krótko mówiąc być blisko Partii i nie mieć brata, czy kuzyna w armii południowej. Te wszystkie utrudnienia odbierają odwagę nawet najlepszym z kandydatów. Tym bardziej, że gdy zostają już wyświęceni, dramaty dopiero się rozpoczynają. Przede wszystkim mają duże trudności z otrzymaniem pozwolenia od władzy objęcia parafii. Na tym kłopoty się nie kończą. Znane są zresztą przypadki

księży, którzy musieli czekać po 10 lat, żeby móc objąć wyznaczoną im parafię.

Oczywiście, że w ten sposób, reżim wykorzenia w Wietnamie chrześcijaństwo. W rezultacie pozostaje bardzo niewiele otwartych kościołów na Północy, ale te są zawsze przepełnione!

— **I to pomimo ryzyka, które niewątpliwie im grozi z tego powodu?**

— Wolność religii istnieje w Konstytucji... jak w ZSRR! Każdemu wolno wejść do kościoła i modlić się. Ale fakt bycia katolikiem w Wietnamie stawia tych ludzi w sytuacji nieporównanie gorzej, od niewierzących. Zaczyna się już od prześladowania ich dzieci — żadne z nich nie będzie miało prawa do wyższych studiów. Żeby uniknąć tych prześladowań, rodzice coraz częściej nie przyznają się do chrześcijaństwa, które schodzi do podziemia. Reżim ma jednak i na to sposoby: w godzinach, kiedy odprawia się Msza św., władze organizują oficjalne manifestacje. Oto dowód, czy chrześcijanie są prawdziwymi patriotami. Wobec osób nieobecnych w czasie manifestacji wyciąga się natychmiastowe surowe konsekwencje. W ten sposób odbiera się ludziom odwagę chodzenia do kościołów.

Większość znanych mi księży, to ludzie wyjątkowo prawi i odważni. Oczywiście, muszą ważyć każde słowo. Jeden z nich powiedział: „Na początku żądano ode mnie kopii kazania, które będę wygłaszał w niedzielę. Teraz czuję pozorną wolność, gdyż nikt tego ode mnie nie wymaga, ale wiem, że zawsze jest w kościele ktoś, kto je nagrywa. Dlatego muszę bardzo uważać. „Pomimo to odnosi się wrażenie, że Kościół działa i to w sposób żarliwy. W Hanoi, pierwszą Mszę św. odprawia się o wpół do szóstej rano; następna jest o siódmej i ostatnia o dziewiętej. Katedra jest zawsze pełna.

— **A co się dzieje na Południu?**

— Brama wolności zamknęła się w 1975 roku. Brakuje księży. Większość kościołów jest zamknięta. Na 1800 księży i około 40-tu biskupów, 250-300 znajduje się obecnie w więzieniu. Większość biskupów przebywa jakby w adreszcie domowym. Ks. Thuan, który był zastępcą biskupa w Sajgonie, za ginął przed aresztowaniem. Nikt nie wie, gdzie i co się z nim dzieje. Komuniści zarzucają mu współpracę z CIA.

Biskup z Hue, Mgr Dien, jest już od dwóch lat w strzeżonej rezydencji. Przesłuchiwano go już 140 razy! Jest to wybitnie odważny duchowny, który sprzeciwił się przystępowaniu księży do Komitetu katolików patriotów, całkowicie podporządkowanemu władzy. W Sajgonie, jedno z najstarszych seminariów wietnamskich, seminarium św. Józefa, zostało przekształcone w państwową fabrykę, prowadzoną przez księdza „rewolucjonistę”, należącego do Komitetu katolików — patriotów. Przyjął on mnie pod portretami Ho Chi Minha Lenina i Marxa. Twierdził, że w takim właśnie, jak ten kraj, można żyć z Ewangelią w rękę, a nauka Chrystusa nie różni się wiele od doktryny Marxa!

— **Czy spotkał pan zakonnice?**

— Miałem po temu okazję, zwiedzając szkoły. Tam zakonnice jeszcze mogą zajmować się dziećmi. Korzystając z nieuwagi naszego przewodnika, napomknęły mi, jak wygląda ich życie. Zmusza się je do uczęszczania na kursy zycia. Nie mają prawa nauczania religii. Organizują więc kursy podziemne i pod pretekstem zabaw, uczą dzieci katechizmu, muzyki, francuskiego.

— **I pomimo tych ciężkich prób, Kościół istnieje?**

— Oczywiście! Zresztą ilość nawróceń się powiększa. Mówili mi o tym wszyscy księża, z wyraźną radością.

W Sajgonie braliśmy udział w ślubie pary młodych, świeżo co nawróconych. Ślub odbywał się w kościele Redemptorystów. Jest to parafia, gdzie rocznie odnotowuje się około 250 nawróceń!

Przypadkiem, wchodząc kiedyś do katedry w Sajgonie, byliśmy świadkami chrztu trojga dzieci.

Kościół cierpiący przyciąga do siebie tych, którzy też cierpią. To jedyne miejsce w Wietnamie, gdzie mówi się prawdę, gdzie można jeszcze znaleźć nadzieję.

„France Catholique” nr 2076 z 11.  
10. 1986  
(Tłum. E. z E.)

**CZYTAJCIE  
prasę katolicką!**

# Poglądowa lekcja w Ochotnicy Górnej

Kiedy w Polsce nastał wielki kryzys brakowało nie tylko żywności ale wszelakich artykułów codziennego użytku.

Zimą 81-82 w małej górskiej wiosce Ochotnica, niektóre dzieci przestały chodzić do szkoły — nie miały butów. Domy rozrzucone są tam po górach, często w znacznej odległości od wsi i szkoły, godzina albo i więcej marszu. Kamieniste ścieżki i ostry zmarznięty śnieg niszczą botki i trzewiki w zastraszającej szybkości. Najbliższy sklep obuwniczy w Nowym Targu i zanim rankiem ktoś z Ochotnicy tam dotarł, od dawna już półki były puste. Ksiądz z nauczycielem wofali na alarm, ale z pustego wiadomo i Salomon nie należe.

W tym samym czasie lotaryngijscy rolnicy przygotowywali pierwszy transport, poruszyło ich zdławienie Solidarności, postanowili pomóc Polakom. Stworzyli Komitet Pomocy Polsce, zwołali kilka zebrań, gdzie przedyskutowali sens całej akcji i gdzie doszli do wniosku, że pomocy materialnej towarzyszyć powinny, przyjaźń i kontakty osobiste, które wzbogacają obie strony. Trochę przypadkowo za cel obrali diecezję krakowską, tam wskazano im Ochotnicę.

Pierwsze spotkanie i zawarcie znajomości było początkiem przyjaźni. Lotaryngijskie dzieci przygotowały małe paczuski dla swoich rówieśników. Każda zawierała oprócz łakoci krótki list z adresem nadawcy. W Ochotnicy ksiądz i nauczyciel razem rozdzielili dary i razem zajęli się tłumaczeniem listów. Lody zostały przełamane, listy zaczęły kursować między góralską wioską a regionem Toul i Nancy. Pomoc nie ograniczała się oczywiście do dziecięcych paczuszek. Przeważająca część darów dzielona była na miejscu przez dzieci szkolne. Za każdym transportem inna klasa typowała rodziny wedle trzech kategorii — najbardziej potrzebujących, średnio zamożnych i tych, którym pomoc nie była niezbędna, ale stanowiła symboliczny gest przyjaźni. Dzieci z Ochotnicy miały już buty, niemowlęta odżywkę, a wszyscy świadomość, że gdzieś w odległej Francji, o której niewiele wiedzieli, ży-

ją ludzie na których można liczyć, ofiarni i bliscy, solidarni.

Kilka miesięcy później ktoś wpadł na pomysł zorganizowania spotkania młodych. Zaproszono francuskie dzieci na wakacje do Ochotnicy. Przyjechali autokarem latem 1983 było ich trzydzieścioro od 8 do 18 lat, troje opiekunów i szofer, który poświęcił część swojego urlopu. Pierwsze dni nie były łatwe. Za ogrodzeniem poletka gdzie Francuzi rozbili namioty, cały dzień stała grupka dzieciaków, patrzyli ale umykali spłoszeni gdy Francuzi zbliżali się do nich. Nauczyciel przyprowadził drużynę harcerską. Przyszli karnie bali się trochę, spoglądali nieufnie nie umiając przełamać zawstydzenia, sparaliżowani nieznajomością wspólnego języka. Przy ognisku zawarli pierwsze znajomości. Znali już nawzajem swoje imiona. Nazajutrz już razem się bawili. Jak to zwykle bywa najszybciej bariery przełamały maluchy. Starszym było trudniej. Bardziej świadomi, bardziej zakłopotani, zatroskani o to żeby zrobić dobre wrażenie. W dodatku w czas sianokosów wspaniała pogoda zmuszała do pracy w polu. Prawie wszystkie góralskie dzieci latem pomagają dorosłym. Świtem szli w góry; gnali krowy albo grabili siano. Schodzili na dół po południu, zmęczeni i niewiele czasu zostawało dla Francuzów. Ci ostatni nie dali za wygraną i któregoś dnia wczesnym rankiem i oni poszli do roboty. Po dwoje żeby było raźniej. Wracali wieczorem pełni wrażeń, zmordowani i szczęśliwi. Manuel (14 lat) zakurzony, przywłókł się do obozu ostatni. Na szarej od pyłu twarzy odcinały się dwie białe linie — „wymyte” przez strużki potu. Ładował siano na wozy. „Muszę tu przyjechać na przyszłe wakacje”, mówił, „...tu jest wspaniale”.

A potem można było podziwiać jak mały Staszek siedmiolatek w polatanych spodniach, bo by mu matka nowych nie nastarczyła kupować, wrzeszczał na całe gardło „viens Sophie viens”. Francuzi pakowali się i wyjeżdżali obdarowani suszonymi grzybami i owocami serkami. Umawiano się na przyszły rok w Lotaryngii.

Zorganizowanie pobytu polskich

dzieci w Toul nie było proste. Wydawało się, że główną przeszkodzą będą kwestie finansowe. Ochotniczańscy górale biedni są jak myszy kościelne. Przemysłu tam nie uświadczy, turyści jeszcze nie dotarli i jedynym źródłem utrzymania zostaje jałowa, kamienista ziemia i las. Tymczasem koszt samego tylko przejazdu obliczono na pół miliona złotych. Lotaryngijczycy wzięli na siebie cały ciężar finansowy wyprawy, im też nie było łatwo. Komitet Pomocy stworzył środowisko mało zamożne, chłopi wspomagani przez kilku inteligentów. Zbierano pieniądze w przeróżny sposób. Dzieci piekły ciasta i sprzedawały je po Mszy św. przed kościołem. Zorganizowano loterię fantową i poświęcony Polsce wieczór taneczny. Trzeba było wiele energii i czasu żeby zgromadzić potrzebne fundusze. Wreszcie wszystko było gotowe i zapięte na ostatni guzik.

Matka jednego z francuskich dzieci pojechała specjalnie do Ochotnicy żeby nakłonić rodziców do wyrażenia zgody na wyjazd Staszka, przyjaciela jej syna. Sprzeciwiali się bo Staszek był potrzebny do roboty w polu, mimo to przedsiębiorcza francuska jakoś ich przekonała i Staszek rozplakał się z radości na wieść, że on też pojedzie.

Mijały tygodnie a odpowiedzi z wydziału paszportowego nie było. Nadszedł kwiecień, potem maj. Nauczyciel jeździł co parę dni do Nowego Targu, dowiadywał się o paszporty dla swych podopiecznych. Odpowiedzi nie było. Przyszedł czerwiec. Francuzi alarmowali, bo każdy jakoś chciał zaplanować sobie wakacje, a wciąż nie było wiadomo czy ochotniczanie przyjadą. Zrobili górale petycję i wystali do ministra, dostali odpowiedź, że sprawy paszportowe załatwiane są na szczeblu województwa, czyli w Nowym Targu. Już było zresztą za późno, bo lipiec się kończył, wreszcie przyszła odpowiedź. Odmowna.

Jedni i drudzy się zawzięli. Francuzi i Polacy. „W przyszłym roku zaczynamy od nowa” — powiedzieli sobie.

(Dokończenie na str. 12)

Pretekstem do odmowy wydania dzieciom paszportów był fakt, iż zaproszenie było wspólne dla wszystkich. Postanowiono tym razem nie popełnić błędu. Już wczesną jesienią każde z dzieci dostało zaproszenie, każde z innej rodziny. (Konsulat Polski za każdą pieczętkę brał oczywiście po 120 franków). Znowu złożono w Nowym Targu podanie o wydanie paszportów. Łatwo powiedzieć „złożono podania”, ileż wysiłku kryje się za tymi dwoma banalnymi słowami. Do paszportu po-

trzebne wszak są zdjęcia. Najbliższy fotograf w mieście, a miasto daleko, autobus drogi, a zresztą dzieci chodzą do szkoły i nie mogą opuszczać całego dnia. Znalaziono sposób: sprowadzono fotografa na miejsce. I tak kosztowało to taniej niż wyprawa każdego z osobna do miasta. Razem z nauczycielem pojechali do Nowego Targu, żeby zawieść kwestionariusze (bo trzeba to robić osobiście). Tym razem nie czekali długo, szybko przyszła odpowiedź negatywna. Jeździli z prośbą o zmianę decyzji do Warszawy, do samego ministra Kiszczaka. Nic nie wskórali. Nauczycielowi Służba Bezpie-

czeństwa zrobiła rewizję. Znaleźli parę gazet Solidarności i zagrozili mu usunięciem ze szkoły. Nie przestraszył się tym. Ale dzieci z Ochotnicy wyjechać do Francji nie mogły. Byłyby to pierwsze w życiu prawdziwe wakacje, wielka przygoda którą sobie wymarzyli i na którą czekali dwa lata.

Zmarnowany wysiłek? A może po prostu pogładowa lekcja tępej głupoty urzędniczo-policyjnego totalitaryzmu?

Lekcja, której nigdy nie zapomną ci wszyscy, którzy ją przeżyli.

Liliana BATKO

## „SID i NANCY” – bunt czy samozniszczenie?

Lata 70-te, Londyn — stolica ogarniającego coraz większą falą ruchu punk. Kolejny po hippies kryzys wśród młodzieży. Bunt jak zwykle skierowany przeciw starymu, przeciw społeczeństwu, w którym przyszło im żyć.

Punk — dla jednych — nieszkodliwa moda, dla innych — margines; dla młodzieży — „nowa filozofia”: Not futur — nie ma przyszłości, to główne hasło punków krzyczane na koncertach, malowane na murach Londynu, a potem innych miast. Dla Alexa Coxa, angielskiego reżysera, tamten właśnie okres szczytowej popularności punków stał się tłem jego najnowszego filmu „Sid i Nancy”. Opowiada on historię Sida Viciousa, członka czołowego zespołu punk — rockowego i jego dziewczyny, również wyznawczyni nowego ruchu. Lub raczej historię ich związku i miłości, stopniowego upadku i destrukcji poprzez narkotyki i szaleństwo, aż do śmierci.

Najważniejszym ich momentem dnia jest nowa porcja heroiny, pozwala zapomnieć o jutrze i beznadziei. Beznadziei, której następstwem jest śmierć Nancy, oraz po kilku miesiącach Sida Viciousa z przedawkowania heroiny.

Zginęli tak jak żyli, jak nakazywała im „filozofia” ich ruchu. Co było treścią ich życia? Tak naprawdę — nic. Zanegowali wszystko, tylko, że nie stworzyli nic w zamian. Zresztą nie o to im chodziło. Stworzenie czegoś nowego wymaga wysiłku, na to nie było ich stać. Wystarczyło, że uchodzili za nihilistów, że szokowali — stąd

ekstrawaganckie stroje, fryzury, wulgarne do granic wytrzymałości zachowanie. Obwieszali się łańcuchami, wisiorami w kształcie żyłek, agrafek — symbolizującymi dla nich agresję, przeciwko której protestowali.

Ruch punków był odpowiedzią młodych na kryzys ekonomiczny i obyczajowy, jeden z najsilniejszych, w Anglii, w drugiej połowie lat 70-tych. Ale bunt, tak jak poprzednio — hippiesów, obrócił się przeciw nim samym.

Sid i Nancy, bohaterowie filmu Coxa, nie wiedzą, czego chcą. Pragną jedynie wyrwać się z codziennej nudy, przeżyć barwnie kolejny dzień. Pomagał im w tym koncert, papieros z haszem, a jeszcze bardziej heroina. Nie była zresztą to tylko ucieczką przed nudą, ale przede wszystkim przed odpowiedzialnością wobec siebie, życia, innych.

W którymś jednak momencie odzywają się w bohaterach filmu wyklęte i odrzucone przez nich pragnienia: miłości, czułości, bliskości. A przecież tylko głupcy kochają. Sida i Nancy, wbrew regułom, wbrew im samym, zaczęła wiązać coś więcej, może to miłość, choć pewno niektórzy przyjmą niechętnie to określenie w stosunku do ich uczucia. Niestety, ich miłość będąca desperackim poszukiwaniem ratunku, skazana jest, tak jak i oni, na jeden tylko koniec. Tragiczny. Są zbyt słabi, aby wyrwać się z życia, które (jak im się zdawało) wybrali, a które ich zniszczyło. Ich i wielu im podob-

nych, tragedia polegała i polega na nieumiejętności wejścia w rolę, świadome życie, nieumiejętności wytworzenia systemu wartości, który pozwalałby istnieć a nie wegetować.

W świecie pokazanym w filmie przez A Coxa nie ma też nikogo, kto chciałby bohaterom pomóc. Świat innych — spoza punk, traktuje ich jak egzotyczne zwierzątko, na które można popatrzeć, ale z daleka (rodzina Nancy) lub jako dobry środek do zrobienia pieniędzy (ludzie z show-buisnesu). Żyją więc zostawieni samym sobie, odrzuceni przez społeczeństwo, które jak im się zdawało, oni odrzucili.

Reżyser filmu nie stawia żadnych znaków zapytania, pokazuje pewną sytuację, pewien stan. A szkoda; brak przekonującej motywacji socjologiczno-psychologicznej oraz ukazanie spłyconego obrazu świata „poza”, nie mającego do zaprezentowania autentycznych wartości — zuboża film. Sympatia reżysera jest po stronie Sida i Nancy, są oni dla niego bohaterami romantycznymi.

Myślę, że u widza, nawet młodzieżowego, film wzbudzi przede wszystkim współczucie i niepokój. Reżyser pozwolił swoim bohaterom na jeden tylko wybór: między buntem a samozniszczeniem.

Wydaje się jednak, że skala wyboru, w życiu, jest nieco większa.

Iza Chruślińska

# ZYĆ GODNIE

*Niech pomnik ten trwa:*

*Pomordowanym — jako symbol wiecznej pamięci, rządzącym — na znak przestrogi, że żaden konflikt społeczny w Ojczyźnie nie może być rozwiązany gwałtem, współobywatelom — ku porzuceniu nadziei, iż zło może zostać przezwycięzone...*

Słowa Aktu Erekcyjnego, odczytywane 17 grudnia 1980 r. o piątej rano w Gdyni, podczas odsłonięcia pomnika brzmią ostro i przejmująco. Padają w gęsty i zbity tłum.

Kolejki elektryczne, jak przed 10 laty, wyrzucają tysiące ludzi. Nie widać ich twarzy w mroku pogrudniowego poranka. Tłum jest bez twarzy. Wzręca giną. Nie widać rysów. Istnieje tylko ciemna i ruchoma masa...

10 lat temu mrok rozświetlały błyski pocisków. Dzisiaj reflektory nad pięknym srebrzystym pomnikiem.

Wtedy w bezimienny beztwarzowy tłum puszczono serię pocisków. Dzisiaj słowa „nadziei na wolność Polaków w Ojczyźnie”. I bezimienny, żywy organizm przyjął te słowa. Jak również i te, że pomnik to nie tylko nadzieja. Także symbol i przestroga.

Matka zabitego ucznia przyzakładowej szkoły zawodowej, Ludwika Pierackiego, odsłania pomnik.

Czy nie zemdleje — obawiano się w pokojach Społecznego Komitetu Budowy Pomników. Nie zemdleła. Wzięła potem udział w konferencji prasowej zorganizowanej dla dziennikarzy z rodzinami poległych w sali domu kultury przy ul. Portowej. W tej samej sali, w której 16 grudnia 1970 roku, w nocy, aresztowano Komitet Strajkowy.

Rodziny pomordowanych siedzą w trzech pierwszych rzędach. Niektórzy odmówili udziału w tym spotkaniu.

Trzaskają flesze, wyciągają się ręce z mikrofonami... Dziennikarze chcą usłyszeć prawdę. Chcą ją utrwalić... Z boku dwóch reporterów fotografuje wyposażony „na dowód osobisty” akt zgonu. Nie ma na nim przyczyny śmierci, która nastąpiła 16 grudnia 1970 roku. Fotografują także telegram rady zakładowej, który wysłano do zamieszkałej w Kraśniku rodziny zabitego, Józefa Widerlika.

— Ja syna szukałam w Gdyni... W

szpitalu nic nie chcieli powiedzieć... Zginął w czwartek... Znalazłam go w sobotę w Gdańsku... wpisany był jako nieznajomy... — płacz zamazuje słowa — ...potem w marcu ekshumowaliśmy zwłoki dziecka...

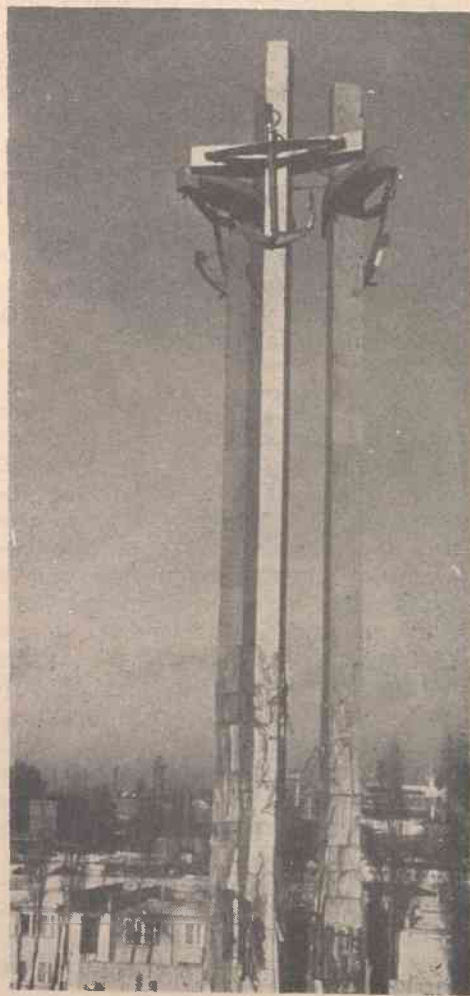
O pogrzebie Zygmunta Polito zawiadomiono rodzinę o 23, 19 grudnia. Miał się odbyć za godzinę. Zwłoki były nagie i leżały w trumnie numer 423...

Ilu ich było? — to pytanie, które się powtarza — bo przecież nie tylko 28.

Jak mówić o zaufaniu, skoro oficjalny raport Komisji Rządowej powołanej tuż po wydarzeniach, nie ukazał się do tej pory? — drugie z powtarzających się.

Kto jest odpowiedzialny za masą krę tłumu, zagubionego w ciemności grudniowego poranka? — trzecie...

— Od 1970 jestem na rencie inwalidzkiej... Wówczas szedłem do ma-



my i złapali mnie. 17 lat miałem. Wciągnęli po paru sekundach do Miejskiej Rady. Ci w radzie nie wiem, kim byli. To byli ludzie w panterkach... Złamaną podstawę czaszki miałem, odbite nerki, uszkodzony kręgosłup... nie wszystko pamiętam. Z piwnicy, gdzie leżałem jako nieżyjący wśród zwłok, wyciągnął mnie dr. Knert. Byli tam zabici... — mówi nerwowo czarnowłosa Kasprzycki (na widok milicyjnego munduru dostaje szoku i uciekła).

Po sierpniu roku 1980 postawiono pomniki-symbole. Pomniki przestrogi i nadziei. Wyrosły z ludzkiej wiary i ufności, że tamci „oddali życie, abyś ty mógł żyć godnie”.

Co znaczy „żyć godnie” w kontekście oficjalnego milczenia i bez próby wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do sprawców tych wydarzeń?

Czy można „żyć godnie” ze świadomością, iż jedynymi ściganymi w Polsce ludobójcami są ci sprzed 40 lat?

Czy można „żyć godnie”, skoro według oficjalnego wykazu Prokuratury Wojewódzkiej w Elblągu zginął tylko jeden człowiek, a równocześnie codziennie prasa donosi o odsłonięciu w tymże Elblągu „Pomnika Ofiar Grudnia”?

Czy „żyć godnie” znaczy dowiadywać się prawdy jedynie z „wieści gminnej”? Z ust płaczącej matki Stasia Sieradzana, ucznia V klasy Technikum Chłodniczego w Gdyni? Pokój jego dzisiaj wygląda tak samo jak wówczas, kiedy Stasio po raz ostatni 17 grudnia wyszedł do szkoły.

Kto odpowie na te pytania?

Czytamy deklaracje z pierwszych stron dzienników: „odbudowanie zaufania podstawą...”

Czyżby i ta odbudowa zaufania miała również skończyć się aktem deklaratywnym?

Jeżeli tak, to najważniejszymi słowami z Aktu Erekcyjnego są te o przestrodze oraz fragment wiersza Czesława Miłosza, widniejący na murze poległych w Gdańsku:

*„...Nie bądź bezpieczny, poeta pamięta. Możesz go zabić — narodzi się nowy. Spisane będą czyny i rozmowy...”*

Maria de HERNANDEZ-PALUCH

# MYŚLI DOMYŚLANE...

Mija 5 lat od „Nocy nie — św. Jaruzelskiego”, nocy pozornego zwycięstwa systemu nad polskim społeczeństwem zorganizowanym w związek zawodowy „Solidarność”. 13 grudnia 1981 r. w skali historycznej znaczący niewiele, ale w skali pokolenia podanego kolejnej komunistycznej „normalizacji” — zawsze tej samej, choć nie takiej samej — jest dostatecznie długi i znaczący w nowe fakty i zjawiska, by pokusić się o próbę wydobywania pewnych cech charakterystycznych, umykających jakoś z pola myślenia i działania.

Proces rozpoczęty zbrojnym zamachem stanu; „normalizacją” głoszona w Moskwie i w Warszawie rozciąga się coraz bardziej w czasie i zaczyna coraz wyraźniej odbiegać od swojego idealnego stalinowskiego wzorca. Chcąc zrozumieć istotę kłopotów Jaruzelskiego z nakazaniem przez centrum przywróceniem porządków w „socjalistycznej Polsce” należy się cofnąć w czasie i zastanowić nad istotnymi przyczynami wprowadzenia stanu wojennego. Spora część opinii publicznej, zwłaszcza na Zachodzie, wydaje się zgadzać z propagandową tezą komunistów, że „Solidarność” chciała za dużo i posunęła się „za daleko”. Dziwny to ekstremizm, praktycznie bezbronno społeczeństwa, który sprowadzał się do jakiś samorządów w zakładach pracy i nieco mniej zafałszowanych wyborów do rad narodowych i tzw. sejmu, z góry przyznających komunistom co najmniej 51 proc. miejsc mandatowych. Istota zagrożenia dla systemu tkwiła nie w „ekstremizmie” żądań społecznych ale w samym fakcie istnienia „Solidarność”. Ten potężny swoją ideowością ruch społeczny, bogaty w charyzmę swoich przywódców i skuteczny w swoich perswazyjnych i pokojowych naciskach, rozłożył kompletnie zarówno ideowo jak i kadrowo ostoję i narzędzie sowietyzacji Polski — partię, a ściślej część cywilną tej partii i jej przybudówki.

Ponieważ proces przemian po-sierpniowych nie dotknął wojskowej i esbeckiej części partii, Moskwa mogła się pokusić o spektakularny wjazd polskimi czołgami, co też przy pomocy Kulikowa i innych sowieckich doradców udało się w pełni. Gorzej udaje się natomiast pogrudniowa normalizacja.

Powszechność społecznego oporu, odbudowa struktur związkowych, bogactwo prasy i wydawnictw podziemnych, kompromitująca niewydolność gospodarcza reżimu — wszystko to oddziaływało nadal na morale ludzi.

Kulawemu procesowi partyjnej normalizacji towarzyszy równoległa normalizacja społecznego oporu. Zakres społecznych żądań rewindykacyjnych wcale się nie zmniejszył, można mówić o powszechnej świadomości „długiego marszu” konieczności rozłożenia w czasie tego wszystkiego, czego domagano się w podpisanych Porozumieniach Gdańskich.

Zejście „Solidarność” do podziemia, wymuszone delegalizacją związku, spowodowało pewne przesunięcie w składzie społecznym osób zaangażowanych w działalność opozycyjną. Robotnicy wielkoprzemysłowi, główna siła napędowa zmian 1980-1981 roku, raczej byli i są niechętni konspiracyjnym formom działalności. Konspiracja to domena inteligencji. Stąd wyraźniejsze upolitycznienie podziemia, pojawienie się rozmaitych orientacji, pluralizm postaw i działań. I to jest drugi element aktualnej sytuacji w kraju znajdujący dość słabe odbicie w publikacjach. Efektem korzystnym tego zjawiska jest niewątpliwie nadrobienie zaległości w szeroko rozumianej kulturze politycznej i społecznej naszego narodu. Efektem niekorzystnym jest zmniejszenie skuteczności bieżących nacisków na reżim zmierzający do pohamowania tempa sowietyzacji.

Trzecim elementem, który dotychczas nie znalazł właściwego oświetlenia w naszej prasie to konsekwencje plebejskości, jak chcą jedni, lub robotniczego charakteru, jak chcą drudzy, „Solidarność”. Główne idee Solidarność jak i charakter tego ruchu społecznego narzucili robotnicy. Zaskakujący cały świat pokojowy charakter walki, jego katolickość i wyraźnie patriotyczne akcenty to efekt nawiązania do prawie wiekowej tradycji ruchu związkowego w Polsce. Wszystkie te cechy manifestowały się wyraźnie w czasie rewolucji 1905 roku, widoczne były w okresie zagrożeń naszej niepodległości w 1920 jak i 1939 roku. Dla polskiego ruchu robotniczego charakterystyczne historycznie było również upominanie się o rozmaite formy partycypacji w zakładzie pracy, co

znalazło tak dobitny wyraz w programie uchwalonym na I Zjeździe. Wiele na ten temat mógłby powiedzieć zmarły Prymas Tysiąclecia, znakomity znawca spraw związkowych. Sprawy te nie są również obce naszemu Papieżowi o czym świadczy choćby Jego Encyklika Laborem Exercens.

Czwartym elementem, na który warto zwrócić uwagę, to zjawisko społeczne określane dość drętwym mianem sojuszu inteligentno-robotniczego. Polskim fenomenem jest nie tyle sam fakt jego pojawienia się ale skala tego zjawiska. Masowe włączenie się inteligencji do Solidarność i to we wczesnym okresie jej powstawania nadało całemu ruchowi specyficzne piętno szlachetnej i przyszłościowej walki nie tylko o przysłowiową kielbasę czy wyższe stawki wynagrodzeń, ale przede wszystkim o ideały tak bliskie każdemu Polakowi jak wolność, godność człowieka, prawda, sprawiedliwość. To właśnie ten etos bezkrwawej walki o spełnienie szlachetnych ideałów okazał się bronią niezwykle skuteczną, na którą komuniści i w Moskwie i w Warszawie jak dotychczas nie znaleźli lekarstwa. Zbieżność tego etosu z chrześcijańską nauką społeczną i z liberalnymi w swym rodowodzie hasłami praw człowieka i obywatela stanowi o uniwersaliźmie dzieła Solidarność, o jego nieprzemijającym uroku. Zadaniem na dziś, bodaj czy nie najtrudniejszym, jest przełożenie ideałów na język polityki, na konkretne programy działań. Rola inteligencji w tej pracy programowej jest kluczowa — zarówno w kraju jak i na emigracji.

Nawiązując do artykułu Hanny Malewskiej „Sądy nieprzedawnione” można z całym przekonaniem stwierdzić, że wiele się w naszym społeczeństwie zmieniło. Przybyło cywilnej odwagi, zgody na różnicę poglądów. Ubyło kultu świętego spokoju, zakłamania i tania frazeologii, choć nie zawsze i nie na wszystkich „salonach”. Kluczowe jednak norwidowskie stwierdzenie: „Siły wyczerpane na dwa pokolenia naprzód, a myśli niedomyślane za dwa pokolenia wstecz” ciągle czeka na historyczną weryfikację. I właśnie domyśleniu niektórych myśli poświęcony jest ten artykuł.

Jacek MARCHEWCZYK

# POSTAWY

Spotkałem ostatnio dwoje „nowych emigrantów”. Są we Francji od kilku lat, zdążyli już znaleźć sobie miejsce, pracują. Powodzi im się nieźle, ot tak żyją sobie zwyczajnie, jak Francuzi.

Dręczy ich jednak na codzień jeden problem — czują się niedowartościowani. Nie mówią tego wprost, ale z naszych rozmów wynika, że spodziewali się innego przyjęcia we Francji. Nie chodzi o stronę materialną, mają to, czego chcieli. Czują się źle, bo myśleli, że spotkają się tu z większym zainteresowaniem. A tu nic, spotkali życzliwą obojętność i tyle. Rozczarowanie było ogromne i nie potrafili sobie z tym poradzić. Opowiadali na prawo i lewo o swych przeżyciach, internowaniu, ale jakoś niewiele to tak naprawdę interesowało. Gdy tak powtórzyli naokoło te same historie, zaczęli upiększać i koloryzować, by nadać smaku swym opowieściom. Zaczęli w to wszystko wierzyć i dziś, w skrócie, opowiadają, że zostali siłą zmuszeni do wyjazdu, że tak sami z siebie to nigdy by nie wyjechali.

Bardzo mnie to rozbawiło. Akurat tak się złożyło, że to oni zaczęli pierwszy o sobie mówić i nie wiedzieli, że jestem takim samym jak oni „nowym emigrantem”. Zastanawiałem się, czy polemizować z tym, co opowiadają, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nie ma to sensu, gotowi są jeszcze się obrazić. Nie mówiłem nic.

Przypomniałem sobie jednak moje spotkania z innymi ludźmi związanymi jakoś z Polakami i Polską, tu we Francji. I nagle pojąłem, że większość z nich jest święcie przekonana, że działacze Solidarności siłą wyrzucano z Polski po wybuchu stanu wojennego. I trochę mnie to zdziwiło.

Nas z Polski nie wyrzucał nikt. Po pierwsze nie ma jak na razie takiej możliwości prawnej, a po drugie przyciąganie Zachodu jest w Polsce tak silne, że wystarczyłoby po prostu dać możliwość wyjazdu, by tych kilka czy kilkanaście tysięcy osób wyjechało. I jak się okazuje nie wyjechali ci, którzy stali na czele ruchów niezależnych w Polsce.

To, co piszę, dotyczy zdecydowanej większości emigracji „Solidarnościowej”. Oczywiście, uogólnienia mogą być dla niektórych krzywdzące.

Wyjeżdżaliśmy, bo mieliśmy serdecznie dosyć ciągłych kłopotów życia co-

dziennego, bośmy mieli dość systemu, głupiej telewizji, niemożności spokojnej pracy i kolejek. Nie chcę wnikać, czy jest to wystarczająca przyczyna, by opuścić swój kraj — sam go opuściłem. Lecz chcę zadać kłam tym wszystkim, którzy starają się kreować na bohaterów i prześladowanych.

Prześladowani są ci, którzy na przykład uciekają z krajów Azji Południowo-Wschodniej ryzykując życie, przedzierając się przez pola minowe, ci, którym zamordowano rodziny. Przybywają tu w jednej koszuli, nieszczęśliwi, złamani. Czasami, gdy patrzę na swój dokument uchodźcy politycznego, zastanawiam się nad tą dziwną sytuacją, że wobec Francji, jestem takim samym uchodźcą, jak ci ludzie. I robi mi się jakoś niemrawo.

Nas nie wyrzucał nikt. Dano nam możliwość i z niej skorzystaliśmy. Skorzystaliśmy, bo nie mieliśmy wystarczająco siły, by znieść to życie, chcieliśmy zmian, i co najważniejsze wykorzystaliśmy szansę wymarzonej dla wielu ucieczki na Zachód.

Ale po co dorabiać do tego niestworzone historie o prześladowaniach i wyrzucaniu? Przecież wyjeżdżając z Polski uciekaliśmy też przed kłamstwem, a ci, co opowiadają te niestworzone historie też mijają się z prawdą.

W historiach tych pełno jest opowieści o nadzwyczajnych przeżyciach, ukrywaniu się, podziemnej działalności i, najczęściej, niezwykle zażyłych stosunkach z kierownictwem „Solidarności” z Wałęsą na czele. Opowieści tyle ciekawych, co po prostu nieprawdziwych. Tyle, że jak to bywa opowiadający po jakimś czasie zaczynają w to

wszystko wierzyć i jest im z tym do brze.

Gdyby tak było, gdyby ci ludzie byli w Polsce tak aktywnymi działaczami, jak opowiadają, to nasze emigracyjne życie wyglądałoby chyba inaczej. Francja by się gotowała, cały zachodni świat musiałby bulgotać sprawami Polaków. A przecież o Polakach się nie słyszy, o Polsce też niewiele. Niedawni bohaterowie osiadają na laurach i pozostają im tylko opowieści.

W samym fakcie wyjazdu z Polski nie ma nic niegodnego, ważne jest, aby zachować się zgodnie z podstawowymi regułami moralnymi.

Jeśli nie wyprzemy się naszych korzeni, jeśli będziemy zachowywali się jak przystało, to i bez opowiadania historyjek wyspanych z palca zdobędziemy sobie szacunek i uznanie.

Adam PIETRASIEWICZ

## POLSKIE SEMINARIUM DUCHOWNE W PARYŻU

**PRZYJMUJE** kandydatów po maturze, którzy pragną służyć Panu Bogu w KAPŁAŃSTWIE.

Przy SEMINARIUM istnieje także LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE z INTERNATEM które przyjmuje młodzież męską od 14 do 18 lat.

Bliższych informacji udziela i zgłoszenia przyjmuje:

**Rektorat  
SEMINAIRE POLONAIS  
DE PARIS  
5, rue des Irlandais  
75005 PARIS**

**POLSKA MISJA KATOLICKA** oraz **OSRODEK VIDEO-DIALOGUE** informują zainteresowanych, że można nabyć kasetę video z filmem MISJA. Jest to godzinna relacja z pobytu Prymasa Polski, kardynała Józefa Glempa, we Francji. W filmie fragmenty Mszy świętych w katedrze Notre-Dame, w kościele polskim w Paryżu, w kościołach w Lens i Lille; spotkania z Polakami w domu Świętego Kazimierza w Paryżu, w Montceau les Mines, w Waziers; wizyty Prymasa Polski na cmentarzu w Montmorency, w Taizé, u Siostr Nazaretanek w Paryżu, w drukarni Księża Pallotynów w Osny; spotkania z przedstawicielami Episkopatu Francji, z Prezydentem i Premierem Francji; szereg wywiadów i wypowiedzi.

Zamówienia wraz z opłatą prosimy przysyłać na adres: POLSKA MISJA KATOLICKA — 263 bis, rue Saint-Honoré — 75001 PARIS lub CENTRE VIDEO-DIALOGUE, 25, rue Surcouf — 75007 PARIS. Prosimy zaznaczyć system zapisu (SECAM lub PAL).

Cena jednej kasety VHS wraz z wysyłką: 250,00 F.

## IV Niedziela ADWENTU

Iz. 7,10-14  
Rzym. 1,1-7  
Mat. 1,18-24

### Przyjęcie Tajemnic Bożych

Rajska zapowiedź Mesjasza, powtórzona przez Izajasza jako ZNAK Boży zaczyna przyjmować ludzkie ciało: Dziewica przyjęła poselstwo archanioła Gabriela, zdumiona, że właśnie Ją Bóg obrał na Matkę Zbawiciela. Z tajemnicą zamkniętą pod sercem pobięła do krewnej, Elżbiety, by jej pomóc w trudach macierzyństwa i „uczyc się być matką”... W tym czasie Józefa napadają wątpliwości. Wydaje mu się, że wie, jak się znaleźć wobec niezrozumiałej tajemnicy: chce opuścić Maryję, by Jej nie wystawiać na ośmieszenie, a siebie — na niepożądane konsekwencje...

Ze ZNAK staje się faktem, mogła mu powiedzieć sama Maryja, mógł to uczynić Boży Posłaniec, może echo z Ain Karim obito się o jego ucho. Ale chyba to nie takie ważne w tej sprawie. Ważny był stosunek do objawionej Prawdy, która narazie była tajemnicą.

Rozumowy dialog Najśw. Panny z Gabrielem mógł Ją doprowadzić do błędu: „Jakże się to stanie — pytała — skoro męża nie znam” (nie ma pożycia małżeńskiego? „Dziewczyno — musiał zakrzyknąć Archanioł — Przeznaczna, Wspaniała Dziewczyno! Czyż Tego, który stwarza, można ograniczać niemożliwością rozumowego pojmowania? Wszak nie masz nic niemożliwego u Boga!”... I otworzyła swe serce: znikły wątpliwości, wstąpiła pewność i cicha radość ubłogostawienia, która wybuchła „Magnifikatem” na progu domu Elżbiety.

A św. Józef? Rozumowe podejście do tajemniczego faktu wniosło niepokój, podyktowało nierozsądne rozwiązanie opuszczenia Maryi wtedy, gdy go najbardziej potrzebowała. Na szczęście Anioł przemówił do serca. Józef przyjął wiadomość „na wiarę” i ustosunkował się do niej rozumnie.

Niezrozumiałe trzeba przyjmować „sercem”; rozum ma podyktować postawę wobec niego... Chrystus Zmartwychwstały w drodze do Emaus wyrzuca swoim uczniom: „O nierozumni i ociężałego serca dla uwierzenia...” Potem wszystko stało się jasne, piękne, uszczęśliwiające...

Zaczekaj z „wymądrzaniem się”. Przyjmij Bożą Tajemnicę, narazie niezrozumiałą... POTEEM zaprzęgnij rozum do roboty: on jest po to...

Ks. Michał Rybczyński OMI

## BOŻE NARODZENIE

Iz. 62,11-16  
Tł. 3,4-7  
Łuk. 2,15-20

### Bóg w Pieluszkach

#### Uroczyść Bożego Narodzenia

Bóg w pieluszkach, to wcielenie się w codzienność ludzką, to wejście całkowite w „narodzenie ludzkie”, to pełne przyznanie się do człowieczeństwa i do wszystkich wiążących się z nim losów. Bóg dzieli z człowiekiem wspólny los na ziemi, w najdrobniejszych szczegółach jego życia. Cała prostota codzienności staje się udziałem Boga, podobnie jak każdego człowieka. Prawdziwy Pośrednik między Ojcem a Jego dziećmi ukazuje się w ukryciu... pieluszek.

Rozważyć pieluszki Boga złożonego w żłobie, to niezwykle zdrowe dla człowieka przeżycie (...) Kariera każdego człowieka zaczyna się na ziemi — w pieluszcze, choćby dziś nosił mundur ambasadora czy generała. I na pieluszcze — może nieco większej — się skończy, jeśli na łożu śmierci nie zabraknie nam pieluszek. Trzeba więc szanować to, z czego człowiek wyrósł i do czego niechybnie jeszcze wróci (...)

W pieluszcze Dziecięcia Bożego każda matka, zatroskana o swoje dzieci, może niedostatecznie doceniona w swym drobiazgowym trudzie wychowania, dozna czci i podniesienia na duchu. Niepokalane dłonie Maryi tykały takich samych gałganków, w które matczyne dłonie chronią swoje niemowlę. Nic się nie zmieniło w istocie, choćby te gałganki z lepszego były płótna. Dwie matki: Matka Boga i matka człowieka — witają się przy dobrze znanej sobie pracy.

W zwykłym życiu domowym, w całej prostocie codzienności — w ubóstwie czy dostatku — te drobne, małe sprawy nabierają znaczenia i wartości w obliczu Boga. Rodzice utrudzeni przy swoim dziecięciu niech sobie „nie krzywdują”, że ciągle są w pieluchach. Z nich sami wyszli i dziś służą w najlepszy sposób Bogu, Ojczyźnie i człowiekowi — przy pieluchach.

We współczesnym zrównaniu społecznym trzeba pamiętać, że zaczęło się ono od „umowy społecznej”, nie od „Manifestu”, ale — od pieluszek. A na czele — Syn Człowieczy, owinięty w pieluszki, położony w żłobie...

Stefan kard. Wyszyński „Bochen chleba” — Marianom s. 21.

## ŚW. RODZINY

Syr. 3,2-6, 12-14  
Kol. 3,12-21  
Mat. 2,13-15. 19-23

Jest takie miejsce, do którego się wraca; miejsce jedyne na ziemi, najświętsze; wraca się do niego ze szkoły, z fabryki, z pracy..., kiedy człowiek zmęczony, zbity nieraz; w tym miejscu odnajduje siły, nowe światła. Tym miejscem jest dom rodzinny, RODZINA, ciepło matczynego serca; zdecydowanie, pewność ojca; dobroć żony, stałość męża... Jedyne miejsce na ziemi!

:-:

Rodzina jest szkołą, w której człowiek uczy się żyć z drugim człowiekiem, uczy się żyć z drugim w miłości. Są napięcia: bo nie wybiera sobie człowiek rodziców, ani rodzice dziećmi. Dlatego zasadniczym słowem w rodzinie nie jest przebaczenie.

:-:

Rodzina wychowuje do rodziny większej, na skalę ludzkości. Któregoś dnia Chrystus powie: moim ojcem i moją matką są ci, którzy słuchają Słowa Bożego. Rodzice wychowują nie dla siebie. Rodzina nie zamyka, ale otwiera...

:-:

„Wstań, weź Dziecię i Jego Matkę i uchodź do Egiptu”. Bo nie byłoby sensu żyć bez Dziecięcia, bez Boga. Bo bez Boga rodzina się rozpada. Trzeba Go chronić, by był, by był w rodzinie. Bóg nie rozwiąże nam wszystkich kłopotów, nie rozwiąże spraw materialnych, nie usunie trudności, które powstają tam, gdzie człowiek żyje z drugim człowiekiem. Ale Bóg jest jak słońce, w NIM widzi się jasnie, w NIM widoczne są rozwiązania; w NIM, to co wydawało się górą ogromnych trudności, staje się maleńkim kopcem mrowiska.

L. MAREK

**GŁOS KATOLICKI**  
Redakcja, administracja, prenumerata:  
263-bis, rue Saint-Honoré  
75001 PARIS — Tel. : 260.07.69  
C.C.P. 12777 08 U

Dyrektor:

Ks. Rektor St. JEŻ

Redaktor:

Ks. dr W. SZUBERT

Administrator:

Br. Wł. SZYNAKIEWICZ

Nr d'autorisation 60.593

Imprimerie „NARODOWIEC”  
101, rue E. Zola — 62302 LENS